

Anne McAllister

Zawsze będę cię  
kochał

## PROLOG

Podobno słuch traci się na ostatku. On nie stracił słuchu. Jeszcze nie. Ani wzroku. Widział jasny snop światła, widział też odległe sylwetki ludzi. Spróbował podejść bliżej.

- Psiakrew! Trzymajcie go! - z bardzo daleka zawołał szorstki głos.

- Trzymam! Ale on się wyrywa! - Ten głos także ledwo przebił się do jego świadomości.

- Więc trzymaj mocniej! Traci mnóstwo krwi. Musiał dostać co najmniej trzy kule. Pospiesz się!

- Szybciej! Umrze, jeżeli zaraz go nie odwieziemy!

Światło stało się jeszcze jaśniejsze, potem przygasło. Głosy szemrały, dźwięki wydawały się ostrzejsze. Słyszał postukiwanie metalu o metal. Chrzest. Szczęk.

- Już. Pchnij drzwi.

- Cały czas krwawi!

Światło znów pojaśniało. Twarze stały się wyraźniejsze.

Mógł rozróżnić rysy. Widział swojego ojca. Czy to naprawdę jego ojciec? Ten młody, uśmiechnięty mężczyzna? Boże, ile to już lat upłynęło. Miał trzy lata, gdy staruszek umarł. A w zamglonym wspomnieniu, jakie zachował, jego ojciec nigdy nie był szczęśliwy.

Ale teraz wydawał się szczęśliwy. Był z matką Charliego, oboje uśmiechnięci, obejmują się, między nimi stoi też Lucy. Mama umarła, gdy miał dziesięć lat. Siostra pięć lat później.

Lucy, do diabła, jak mogłaś dać się w ten sposób zabić?

Podszedł bliżej do światła i próbował zawołać.

- Tracimy go!

- Wiem! Wiem! Ruszaj się!

Teraz Charlie ledwo słyszał głosy. Zresztą nic go nie obchodziły. Chciał podejść do siostry. Miał jej tyle do powiedzenia - o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd umarła. O Joannie, nauczycielce Lucy, która wzięła go do siebie,

pilnowała go, zdecydowana nie dać mu umrzeć na ulicy tak, jak umarła jego siostra, i o Chasie, mężu Joanny, który nauczył go być mężczyzną.

Ale zanim mógł coś powiedzieć, pojawiło się więcej twarzy. Zobaczył Chase'a i Joannę. Zobaczył ich dzieci, Emersona, Aleksa i Annie, którzy stali się dla niego prawdziwym rodzeństwem.

Och! Chwileczkę! Przecież oni nie umarli. Żadne z nich.

Charlie ze zdumieniem przypatrywał się twarzom. Zobaczył Herberta, swojego najlepszego przyjaciela ze szkoły podstawowej, a potem DeShayne'a i Lopeza, chłopaków, z którymi się włóczył w czasach średniej szkoły. Przecież oni żyją i, o ile mu było wiadomo, doskonale dają sobie radę. Zobaczył Gaby, swoją agentkę, z którą rozmawiał dopiero tydzień temu, i swoich starych przyjaciół Milesa i Susan Cavanaughów, i ich synów, Patricka i Jamesa.

Ogarnął ich wszystkich spojrzeniem, a potem ruszył dalej.

Szukał jednej osoby. Jednej kobiety. Gdzie ona jest?

- Cait! - wykrzyknął jej imię. Ale nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy - matka, ojciec, siostra, przyjaciele - wszyscy oni stali w milczeniu i patrzyli na niego pustym wzrokiem.

Wreszcie do nich dotarł, wszedł w światło. Ale zamiast przywitać się z rodziną, zamiast z radością wszystkich objąć, po prostu ich wyminął, rozpaczliwie się rozglądając.

Cait!

Milczenie. Pustka. Nie ma jej tu.

On zaraz umrze, a ona nie będzie częścią jego wieczności? Oczywiście, że nie będzie, uświadomił sobie. Jak mogłaby, skoro on nie pozwolił, by była częścią jego życia?

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Abuk, Azja Zachodnia

Szpitala nie było. Pozostała po nim tylko sterta gruzu. Kierowca taksówki, który przywiózł go tutaj, pokiwał głową.

- Przecież ci mówiłem.

A przynajmniej Charlie domyślał się, że to właśnie kierowca raz po raz powtarzał. Podał mu nazwę szpitala, gdy tylko wykuśtykał z lotniska i wsiadł do taksówki. A wtedy kierowca zaprotestował.

- Nie, nie. Nie warto - upierał się.

Ale Charlie nalegał. Nie po to przebył pół świata, by go zawrócono trzy kilometry od celu.

Od obezwładniającego upału Charlie czuł się jeszcze bardziej zamroczony i słaby, niż się spodziewał. Wyjechał z Los Angeles dwadzieścia godzin temu, zmarnotrawił trochę czasu w Amsterdamie, jeszcze więcej w Stambule, zanim złapał samolot na długi, ostatni odcinek do Abuku.

Wyjechał wbrew zaleceniom lekarzy. W jego pokoju było aż tłoczno od białych fartuchów. Medycy usiłowali go przekonać, że nie jest jeszcze w stanie podejmować większych wysiłków.

- Przeżyłeś śmierć kliniczną - powiedział mu jeden z nich bez ogródek. - Byłeś martwy. Straciłeś litry krwi. Ledwo możesz chodzić. A od włóczęgi dookoła świata na pewno ci się nie polepszy.

A jednak tak, pomyślał Charlie. Polepszy się.

Robił jedyną rzecz, dzięki której wreszcie poczuje się lepiej. Musi nadrobić czas. Musi znaleźć Cait. Tylko myśl o Cait pozwoliła mu znieść całą tę koszmarną rehabilitację.

- Gdzie są inne szpitale?

Kierowca pomachał ręką w różne strony, aż wreszcie wskazał dwa kierunki.

Charlie próbował się zastanowić, gdzie ma większą szansę. Przerzucił kartki kieszonkowego słowniczka i znalazł słówko „bliżej”. Potem wygrzebał plik miejscowych banknotów i powiedział kierowcy znalezione słówko. Kierowca skinął głową, ze szczęśliwą miną schował pieniądze i ruszył.

Przez te dwa lata miasto się zmieniło. Wojna, której nie nazywano wojna, minęła. Gdy Charlie tu mieszkał, co rusz dochodziło do strzelaniny, zamachy bombowe zdarzały się niemal codziennie. Nie było wyraźnie zaznaczonych „stron”. Za każdym razem, gdy wychodziłeś na dwór, ryzykowałeś życie. Tak samo mogłeś zginąć od kuli jednej frakcji, jak i drugiej. I wszędzie panowała rozpaczliwa nędza. Tylko to się nie zmieniło.

Dwa lata temu Charlie przyjechał tu, żeby to fotografować. Taką miał pracę i wykonywał ją dobrze. Udawał się tam, gdzie mógł znaleźć rozpacz, ból, nieludzkie postęпки, fotografował je na czarno - białej kliszy, a potem pokazywał światu.

Przez pięć lat wykonał w ten sposób ogromną pracę. Jego zdjęcia wystawiano od Paryża po Los Angeles. Utorowały sobie drogę do prywatnych kolekcji i galerii na całym świecie. Jego album eseju fotograficznego, "Zagubione człowieczeństwo", w którym zamieścił, między innymi, dwa cykle zdjęć zrobionych właśnie tutaj, zeszłej wiosny, zyskał rangę bestselleru.

- Oto, co zyskujesz, gdy niemal otrzesz się o śmierć - powiedział nonszalancko.

- Bzdura! - orzekła jego agentka, Gabriela del Castillo. Jej zielone oczy ciskały błyskawice gniewu. - Ludzie kupują twój album, bo ich wzruszasz.

- Ale przyznaj, że te trzy kule trochę mi pomogły.

- Pomogły?! Co ty opowiadasz? Mało nie zginąłeś! - Gaby była wściekła, że nie zachował ostrożności i wpadł w krzyżowy ogień. - Martwiłam się o ciebie.

- A powinnaś być zadowolona - upiera! się. - Dzięki temu więcej sprzedałaś.

- Nie jestem aż tak wyrachowana. Naprawdę się o ciebie martwię. W ogóle nie rozumiem, jak ci się udało wywinąć od śmierci.

Charlie wiedział. Bo nie mógł spędzić wieczności bez Cait.

Ale nie powiedział tego Gaby. Nikomu tego nie powiedział. Z nikim o tym nie rozmawiał. Rozmowy o wieczności i doświadczeniu śmierci klinicznej nie leżały w jego zwyczajach.

Dla Gaby i wszystkich innych Charlie Tropiący Łosie był przyziemnym, praktycznym pragmatykiem, uosobieniem postawy "Jestem taki, jak widzisz". W życiu kierował się realizmem. Był ostatnim człowiekiem na świecie, o którym by się pomyślało, że oddaje się pozazmysłowym eksperymentom i dostaje przesłania z tamtej strony.

Ale w dniu, w którym go postrzelono - w dniu, w którym doświadczył śmierci klinicznej - zobaczył jaskrawe światło. Zobaczył swoją rodzinę, a wszyscy oni nie żyli od lat. Zobaczył przyjaciół i zrozumiał, że obiecano mu wspólną wieczność z nimi. I, szczerze mówiąc, chętnie by się do nich przyłączył. Gdyby tylko była tam również Cait.

Gdy rzucił ją dwa lata temu, odwracając się plecami do pomysłu małżeństwa i dzieci, zrobił to dla dobra ich obojga. Czuł się silny, szlachetny, niezależny. Był mężczyzną mającym w życiu cel i dlatego nie mógł dać się związać. Ale to było, zanim zobaczył wieczność, pustą, bez Cait. Zdumiał się, gdy instynktownie zaczął jej szukać.

Kierowca pędził na pół pustymi jezdniami, wzdłuż których sterczały sterty gruzu i spalone domy, kierując się ku ludniejszej części miasta. Kiedyś te dzielnice były gęsto zamieszkane. Akurat przejechali koło domu, w którym Charlie wynajmował pokój. Tu właśnie wziął Cait w ramiona. Teraz z domu pozostały tylko dwie ściany i kupa cegieł. Charlie zamknął oczy i pomodlił się.

Gdy znów je otworzył, zobaczył odcinek ulicy, z którego już uprzątnięto gruzu i zaczęto kopać fundament pod nowy dom. Kierowca taksówki coś mówił, uśmiechał się, wskazywał palcem i kiwał głową.

Charlie zrozumiał kilka słów. „Pokój”. „Nowe”. „Nadzieja”.

- Tak - powiedział. - Tak. - Odchylił głowę na pokryte lepkiem plastikiem oparcie fotela. On też miał nadzieję.

Miał nadzieję, że w kolejnym szpitalu znajdzie Cait. Ale nie było jej. Dyrektor szpitala powiedział mu, że organizacja medyczna, w której pracowała, już się stąd wycofała.

- Przyjeżdżają pomóc, gdy zdarza się jakaś katastrofa - wyjaśniał z uśmiechem, ciężko akcentowaną angielszczyzną. - A sam pan widzi, że nie mamy tu już stanu wyjątkowego.

Charlie w ogóle niewiele widział. W głowie mu się kręciło, kolana miał miękkie.

- A inne szpitale? Może przeniesiono ją gdzie indziej?

- Tak mogło się zdarzyć tylko wtedy, jeżeli zwolniła się z pracy i została. - Dyrektor potrząsnął głową. - Ale trzeba by mieć poważny powód, żeby tu zostać.

- A co z sierotami? - nalegał Charlie.

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Jakimi sierotami?

- W tym szpitalu były dzieci. - Charlie postukał kostkami palców w ladę. - Ranne dzieci. Dzieci, które straciły rodziców. Gdyby chciała jedno z nich adoptować...

A ona chciała adoptować pewną dziewczynkę, czteroletnią, z amputowaną ręką i najbardziej wyrazistym spojrzeniem, jakie Charlie kiedykolwiek widział. Resi.

- Nic nie wiem o sierotach - rzekł dyrektor i wyciągnął rejestr. Przejrzał go, a potem podał Charliemu jakiś adres. - Musi pan tam pojechać i sam się zorientować.

Ściskając w ręce kartkę papieru, Charlie wyszedł ze szpitala. Potrzebował snu. Potrzebował środków przeciwbólowych.

Ale nade wszystko potrzebował znaleźć Cait.

Zatrzymał nową taksówkę i dał kierowcy adres. Jeździli od jednego sierocińca do drugiego. W każdym Charlie opisywał małą dziewczynkę, Resi. I w każdym pytał o amerykańską pielęgniarkę, Cait Blasingame. Ale wszędzie obdarzano go smutnymi, współczującymi uśmiechami.

- Nie, przykro mi...

- Nie, nie ma tu nikogo takiego.

Pozostał w Abuku trzy dni i szukał. Pojechał do każdego szpitala, każdej kliniki, każdej przychodni, o jakich zdołał się dowiedzieć. Poszedł do konsulatu. Do redakcji gazet. Szedł w każde miejsce, jakie tylko przyszło mu do głowy. Gdyby Cait tu była, już by ją znalazł.

Pod koniec czuł się chory. Pod koniec miał gorączkę. I musiał się pogodzić z tym, że wyjechała.

Przez cały czas powrotu do zdrowia skupiał się tylko na tym, że wróci do Abuku, znajdzie Cait i wypowie słowa, których nigdy przedtem nie chciał wypowiadać. Powie jej:

- Wyjdź za mnie.

Przez trzy miesiące żywił nadzieję, marzył i planował. Obiecał sobie, że ją znajdzie, i nie pozwalał sobie myśleć o tym, co będzie później.

A teraz on tu był, ale Cait wyjechała.



- No i jak, warto było? - Gaby patrzyła na niego z mieszaniną troski i irytacji.

Charlie nie życzył sobie towarzystwa. Powiedział o tym pielęgniarce. Od chwili gdy tydzień temu wrócił do Los Angeles i znalazł się w szpitalu, odmawiał przyjmowania wizyt. Ale Gaby nie była z tych, co to podporządkowują się pielęgniarce. Teraz pochylała się nad nim jak jasnowłosy anioł burzy.

- Jechać przez pół świata, żeby robić zdjęcia! Charlie odwrócił głowę do ściany.

- Nie robiłem żadnych zdjęć.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy. Gaby nie mogła w to uwierzyć. Charlie żył tylko dla fotografowania.

- Więc po co pojechałeś? - spytała w końcu spokojnie. Stary, dobry Charlie - ten opanowany, wściekle niezależny

Charlie - powiedziałby: „Bo chciałem”. Odseparowałby się od niej kamienną ścianą, tak samo jak separował się od wszystkich, którzy próbowali wdrzeć się w jego prywatne sprawy. Ale nowy Charlie miał również całkiem nowe spojrzenie na życie. Poza tym był taki cholernie słaby po tygodniu leżenia w szpitalu, faszerywania antybiotykami i transfuzji, że kamienna Ściana zaczęła się walić.

- Szukałem kogoś - mruknął tak cicho, że Gaby ledwo go usłyszała.

Nikommu tego nie powiedział. Nie powiedział o Cait nawet swoim najlepszym przyjacielom, Chase'owi i Joannie Whitelawom, małżeństwu, które do pewnego stopnia zastąpiło mu rodziców, gdy w wieku szesnastu lat został sam na świecie.

Im mógłby powiedzieć, ale Chase i Joanna wyjechali. Dwa tygodnie temu wybrali się z dziećmi do Europy i zamierzali tam spędzić dwa miesiące. Tę podróż planowali od

bardzo dawna. Mieli się z nim spotkać w Atenach. Ale to ustalili, zanim został ranny i odesłany do domu.

A teraz Gaby przyłapała go, gdy był całkowicie bezbronny.

- Kto jest dla ciebie taki ważny? - Jej głos był o wiele miłszy, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć. Otoczyła palcami jego rękę i łagodnie uścisnęła.

- Przyjaciółka - powiedział niechętnie. - Kobieta, którą tam poznałem. Pielęgniarka. - Spojrzał w bok. - Miała na imię Cait.

- Miała? - spytała Gaby.

Charlie przełknął ślinę.

- Ona żyje. A przynajmniej tak myślę. Ona po prostu... wyjechała.

- Dokąd?

- Nie wiem. - Charlie zaczął nerwowo skubać kołdrę. - Pracowała w jednej z tych ogólnoswiatowych organizacji medycznych, które wysyłają personel w rejony wojen i klęsk żywiołowych. Tam nadal jest jak po klęsce, ale już nie potrzebują aż takiej pomocy. Tak więc organizacja zabrała stamtąd swoich ludzi. I nie wiem, gdzie teraz są. Gdzie ona jest.

- Próbowalesz się dowiedzieć?

- Oczywiście. Może miałbym więcej szczęścia, gdybym zaczął się awanturować w ich dyrekcji, bo powiedzieli mi tylko, że obcym nie podają żadnych informacji. Powoływali się na zasadę ochrony prywatności. - Skrzywił się cierpko. Rozumiał ich, ale to mu w niczym nie pomogło.

- Masz jakiś adres jej krewnych?

- Nie. Ona pochodzi z Montany. Cały czas o niej opowiadała. Nazywała ją „ostatnim dobrym miejscem na ziemi” i upierała się, że to święta prawda. - Uśmiechnął się na tę myśl.

Oczami duszy ciągle widział uśmiech Cait, gdy się przekomarzali.

- Charlie, powinienesz to zobaczyć - mówiła. - Spodobałoby ci się.

On tylko potrząsał głową.

- Na pewno nie. Ja jestem miejskim chłopakiem.

Opowiadała mu o łowieniu ryb w strumieniu i pływaniu w stawie, o ujeżdżaniu koni i o tym, że chodziła jak cień za swoim ojcem albo starszym bratem, Wesem. Charlie pozwalał jej mówić, bo lubił na nią patrzeć, gdy wspominała dom. Spojrzenie jej piwnych oczu stawało się miękkie, zasnuwała je leciutka mgiełka i uśmiechała się do tego, co widziała w oddali, kochającym słodkim uśmiechem.

Jego dzieciństwo było inne. Ona miała szczęśliwe wspomnienia, tak różne od tego, co on mógł wspominać.

- A jak było tam, gdzie ty się wychowywałeś? - pytała od czasu do czasu.

- Nie pamiętam - kłamał.

A teraz uświadomił sobie, że pamięta jej opowieści o wiele lepiej niż to, co sam przeżył.

- Poszukam jej - powiedziała Gaby. - Dowiem się, gdzie jest. I sprowadzę ją tu, do ciebie.

- Nie!

Gaby spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Myślałam, że chcesz ją znaleźć.

- Tak, chcę... ale to ja muszę jechać do niej. - Tyle przynajmniej wiedział. Prędzej piekło by zamarzło, niż Cait by do niego przyjechała.

Gaby przemyślała jego słowa. Zastanowiła się również nad samym Charliem. Po tym, jak został ranny, przyjechała do niego, do Los Angeles, z Santa Fe, gdzie mieszkała.

Któregoś dnia, na samym początku ich znajomości, w swój bezpośredni sposób Gaby spytała, czy może liczyć na to,

że on kiedyś zainteresuje się nią nie tylko z powodów zawodowych. Charlie, również na swój bezpośredni sposób, odpowiedział jej, że nie. Wiedział, że nie chodzi jej o romans. Gaby należała do tych kobiet, które pragną małżeństwa. Powiedział jej, że nigdy nie zamierza się żenić, że nigdy nie będzie mu aż tak bardzo zależało na żadnej kobiecie.

Przyjęła to spokojnie. Zastanawiał się, co może teraz myśleć, ale nie ciekawiło go to aż tak bardzo, by chciał mu się pytać.

Poczuł, że ściska jego rękę.

- Poszukam jej - obiecała.

Dwa dni później, gdy wrócił z fizykoterapii, Gaby już na niego czekała.

- Mieszka w hrabstwie Elmer, w Montanie - powiedziała bez żadnych wstępów. - W Shields Valley. Jej ojcem jest Walter Blasingame, właściciel rancza. Nie powiem ci, jak jest wielkie, bo podobno nie wypada o to pytać. - Gaby przewróciła oczami. - Pracuje jako położna w Livingston. Najbliższe lotnisko znajduje się w Bozeman. Jeżeli potrzebujesz miejsca, w którym mógłbyś się zatrzymać, Brenna McCall ma chatę jakieś dwa kilometry od ziemi Blasingame'ów.

Charlie wsparł się na kulach i zagapił na Gaby. Uśmiechnęła się wesoło i wzruszyła ramionami.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Jak tego dokonałaś? - Pokiwał głową w zdumieniu, serce waliło mu jak młotem. - Jest tam? W Montanie?

- Brenna mówiła, że mieszka z ojcem.

- Rozmawiałaś o niej z Brenną?! - Nie życzył sobie, by cały cholerny świat paplał o jego sprawach.

- Nic jej nie wygadałam - parsknęła Gaby z oburzeniem. - Poszukałam w Internecie Blasingame'ów z Montany. Kiedy już dowiedziałam się, gdzie mieszkają, sprawdziłam każdego

z nich. Okazało się, że jeden z nich ma dom w sąsiedztwie Brenny, więc wydawało mi się głupotą nie spytać. Znam Brennę. W zeszłym roku zorganizowałam jej wystawę w mojej galerii. Ty też ją znasz. To ta, co robi te fantastyczne akwarele i rysunki piórkami, na których przedstawia kowbojów.

Charlie skinął głową, ale nie pamiętał żadnej Brenny. I nic go ona nie obchodziła. Mógł myśleć tylko o Cait. Gaby znalazła Cait!

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Tylko niech ci się nie wydaje, że zaraz tam popędzisz - ostrzegła go. - Tym razem masz tu tkwić, póki nie wyzdrowiejesz.

Charlie uśmiechnął się. Świat stał się jaśniejszy. Cait jest w Montanie.

- Tak, oczywiście. Cokolwiek sobie życzysz.

Cait zawsze, gdy pomagała dziecku przyjść na świat, odczuwała ukłucie zazdrości. Ona też będzie miała dziecko. Jest jeszcze wystarczająco młoda. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Oboje, ona i Steve, chcą mieć dzieci.

Steve Carmichael. Jej narzeczonego. Mężczyzna, na którego czekała całe życie. Oboje pragnęli tego samego: domu, rodziny, dzieci. Trojga według niej, chociaż Steve nie był co do tego aż taki pewny.

- Jakim cudem moglibyśmy mieć dla nich czas? - pytał. - Przecież nie możemy nawet znaleźć czasu na ślub.

I w tym miał rację. Steve był kardiologiem, obecnie pracował w Bozeman, dwa popołudnia w tygodniu przyjmował również w Livingston, ale w sierpniu przeniesie się do szpitala akademii medycznej w Denver. Już teraz spędzał tam jeden tydzień w miesiącu, by się zaznajomić z nowymi warunkami.

Cait też ciągle brakowało czasu. Współpracowała z dwoma ginekologami, pracowała też na własny rachunek, przyjmując porody, tak jak dziś. Poza tym raz w tygodniu prowadziła szkołę rodzenia. A od czasu, gdy zeszłego roku w lecie jej ojciec miał atak serca i wróciła do domu, zajmowała się również prowadzeniem rodzinnego rancza.

Liczyła na to, że do tej pory ojciec wyzdrowieje, ale jego rekonwalescencja była wolniejsza, niż się spodziewała. Walt Blasingame, który zawsze był aktywnym, pełnym życia mężczyzną, teraz całe godziny przesiadywał przy oknie. Brakowało mu energii, zupełnie jakby stracił napęd. Cait próbowała go podnosić na duchu, prowadziła ranczo i pracowała w swoim zawodzie. Mimo że tej wiosny zatrudniła zarządcę, ciągle brakowało jej czasu, by pomyśleć o ślubie.

- Nie szkodzi - mówił Steve. - W końcu to zrobimy. Przecież mogę przyjechać na ślub z Denver. Jakie to ma znaczenie. Najważniejsze, że się spotkaliśmy.

Ma rację, uznała Cait. W końcu znalazła odpowiedniego kandydata na męża.

Steve był solidny, odpowiedzialny, zaangażowany i pragnął dokładnie tego samego, czego pragnęła ona. Co za odświeżająca odmiana po mężczyźnie, któremu po raz pierwszy oddała serce. Teraz już rzadko o nim myślała. Gdy poznała Steve'a, uspokoiła się, znalazła swoje miejsce w życiu. Czuła się tak, jakby pod względem emocjonalnym znalazła się na stałym gruncie.

Wprawdzie atak serca ojca przeraził ją i zmartwił, ale gdy ojcu już się polepszyło, uznała, że powrót do domu i poznanie Steve'a były najlepszymi rzeczami, jakie mogły jej się zdarzyć.

Steve też tak uważał. Gdy mogli się spotkać, cieszyli się chwilami, które mieli dla siebie. A kiedy wreszcie staną się rodziną, Cait wiedziała, że sobie poradzą. Zresztą wtedy nie

będzie już musiała się martwić o ranczo. Albo ojciec wróci do zdrowia, albo jej brat, Wes, w końcu uzna, że czas wracać do domu, albo - chociaż o tym nie lubiła myśleć - ranczo zostanie sprzedane.

To jej nie zmartwi, usiłowała sobie wmówić. Zresztą i tak już będzie wtedy w Denver. Tyle że ranczo stanowiło istotną część jej samej.

W ciągu ostatnich siedmiu lat objechała kawał świata. Z początku zatrudniła się w klinice położniczej w Meksyku. Wkrótce potem zdarzyło się jedno z najgorszych trzęsień ziemi w tym rejonie i Cait natychmiast przyłączyła się do ekip ratunkowych. Po takich doświadczeniach powrót do Livingston, do zwyczajnej pracy, wydawał jej się mało ciekawy. Było tylu ludzi i tyle miejsc, które gwałtownie domagały się medycznej pomocy.

Tak więc spędziła kolejne siedem lat, jeżdżąc od jednej katastrofy do drugiej, zarówno naturalnej, jak i wywoływanej przez człowieka. Ale gdzieś, w jakimś zakamarku duszy, zawsze nosiła ze sobą ranczo. Opowiadała o nim, dzieliła się nim z innymi, dawała ludziom poznać smak swojego domu.

I kiedyś zamarzyło jej się, by niektórych z nich przywieźć do tego domu. Pewnego mężczyznę. Pewne dziecko. Nie, nie pozwoli sobie myśleć teraz o tym mężczyźnie. Ale nadal myślała o dziecku. Resi. Na wspomnienie tej osieroconej dziewczynki, która utorowała sobie drogę do jej serca, oczy zabolowały od wzbierających łez.

- Przestań! - powiedziała sobie ostro. - Myślenie o Resi nic ci nie da. Postępujesz głupio. I nie wolno ci się smucić. Przecież w końcu wszystko obróciło się na dobre. Wszystko!

Cait już nawet straciła rachubę, ile razy to sobie wmawiała. Wspomnienia wracały, gdy była zmęczona, zdenerwowana, gdy widziała szczęśliwe rodziny.

Teraz skończyła się myć, przejechała szczotką po włosach i chwyciła torbę. Było wpół do dziesiątej. Przyjmowanie porodu trwało cały dzień, a jeszcze musiała przejechać trzydzieści kilometrów, spotkać się z Gusem Holtem, zarządcą, i sprawdzić, jak idą sprawy na ranczu.

Gdy wychodziła, recepcjonistka zawołała Cait.

- O co chodzi?

Joyce wskazała głową w kierunku mrocznej poczekalni.

- Ktoś tam na ciebie czeka.

- Niech to nie będzie następny poród - westchnęła Cait ze znużeniem. Uśmiechnięta odwróciła się i poczuła, jak jej świat chwieje się w posadach.

Szczupły, wysoki mężczyzna niezręcznie wstał z krzesła i wyszedł z cienia. Światło padło na jego kruczoczarne włosy i ostro zarysowaną, przystojną, ogorzałą od wiatru twarz.

- Charlie? - Och, Boże, nie! Ale to był on.

Charlie Tropiący Łosie. Stał i uśmiechał się do niej tym swoim cudownym, krzywym uśmiechem.

- Witaj. Cait.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie wiedział, co właściwie ma powiedzieć. Jadąc cały ten kawał drogi z Kalifornii, powtarzał sobie swoje pozdrowienie co najmniej tysiąc razy. A teraz, gdy w końcu stanął przed nią, słowa zamarły mu na ustach. Chciał podejść, wziąć ją w ramiona i już nigdy nie wypuścić. Jeszcze nigdy nie wydała mu się taka piękna.

I taka zaszokowana. I wstrząśnięta.

Charlie potrafił odczytywać obrazy o wiele lepiej niż większość ludzi. W końcu tym właśnie zajmował się zawodowo. A ten obraz po prostu bił w oczy.

Cait nie ucieszyła się na jego widok. Oblizwała usta, ale się nie uśmiechnęła.

- Charlie. - Raz jeszcze powtórzyła jego imię. Jej ręce, jedna wolna, druga trzymająca torbę, zacisnęły się w pięści.

Spróbował jeszcze raz:

- Nie wydaje mi się, byś uwierzyła, że właśnie byłem w pobliżu.

- Raczej nie - odparła chłodno. Już nie wyglądała jak po ciosie. Na policzki, które przedtem w jednej chwili pobladły, teraz wróciły kolory. Była zarumieniona, opanowana i absolutnie cudowna.

- Bo nie byłem - zgodził się. - Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć.

Zaciśnięte pięści otworzyły się i Cait wsadziła jedną rękę do kieszeni. W drugiej nadal trzymała torbę.

- Nie rozumiem, po co.

Nie sądził, by mogła to zrozumieć. Wziął głęboki oddech i teraz z kolei on zwilżył suche nagle usta. W chorej nodze czuł pulsowanie. Noga nie była tak pewna, jak by sobie życzył. On sam nie był tak pewny, jak by chciał.

- Czy... czy moglibyśmy gdzieś pójść i porozmawiać?

- A co mielibyśmy sobie właściwie do powiedzenia?

Będzie trudniej, niż się spodziewał. Ale w końcu nie powinno go to dziwić. I w rzeczywistości nie był zdziwiony. Nie oczekiwał cudu. Nie miał złudzeń, że Cait raz tylko na niego spojrzy i rzuci mu się w ramiona.

Był mężczyzną, który zostawił ją bez słowa wyjaśnienia, wyszedł w środku nocy i nigdy już nie wrócił - aż do dziś.

- Nawet jeżeli ty nie masz mi nic do powiedzenia, jest kilka rzeczy, o których ja chciałbym ci powiedzieć - wyrzekł powoli i z większą pewnością siebie, niż odczuwał. - Chciałbym, żebyś mnie wysłuchała.

- A z jakiej racji miałabym to zrobić? Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie wiem.

Coś zajaśniało w tych upartych, twardo patrzących oczach, jakby się zawahała. Zagryzła usta i rozejrzała się po holu. Recepcjonistka chciwie słuchała i nawet się z tym nie kryła. Charliemu było to obojętne. Ale nie Cait. Rzuciła jedno spojrzenie na zaciekawioną minę Joyce i jej usta zacisnęły się w wąską kreskę.

- Dobrze. Wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia. Niedaleko jest bar. Spotkamy się tam na kawie - oznajmiła oschłym tonem, zawróciła na pięcie i ruszyła do drzwi.

Przez ułamek sekundy Charlie tylko na nią patrzył, napawał się jej widokiem. Nawet te sztywne, niewzruszone plecy wzbudzały jego zachwyty. Potem ruszył za nią, starając się nie utykać, świadomy ciekawego spojrzenia recepcjonistki.

Cait czekała na dworze. W rękę trzymała kluczyki.

- Masz samochód? - spytała, obrzuciwszy go tylko jednym obojętnym spojrzeniem.

- Tam - wskazał.

Nawet nie popatrzyła w tamtym kierunku.

- To jest mój pikap - pokazała ręką. - Jedź za mną. - Odwróciła się i szybko odeszła.

- Potrzebuję... - Zamilkł. Nie potrafił tego wyrazić. Bo i nie było na to żadnego wyjaśnienia. Tylko pragnienie. Pragnienie, które go zżerało od chwili, gdy rozejrzał się po wieczności i odkrył, że Cait tam nie ma.

- Czego chcesz? - spytała z irytacją.

Nie mógł nic na to poradzić. Nie mógł się powstrzymać.

- Tego - dokończył i jednym susem pokonał odległość między nimi, objął Cait i zdusił jej usta swoimi wargami.

Całował ją. Łakomie. Rozpaczliwie. Jak tonący zaczerpujący ostatniego haustu powietrza, zanim opadnie na dno. Trzymał Cait w ramionach. Znów zaczynał rozumieć, jak to jest, gdy się ją tuli, obejmuje, stapia z nią w jedno.

Ale jej ciało się nie dopasowywało. Nie stapiało się z nim. Stała sztywno, ręce miała opuszczone wzdłuż boków, usta mocno zaciśnięte. Kiedy już miał się poddać, poczuł jednak coś miękkiego, gorącego, płomień radości, który się rozpalał mimo jej determinacji, by nie ulec. Czuł to. Wtedy ośmielił się wreszcie uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Nadal jej na nim zależało. Kochała go. Pozwoli mu wrócić. A potem, nagle, Cait odepchnęła go. W jej oczach płonęła furia, ale i ból.

- Ach, Cait - szepnął, nie tracąc otuchy mimo cierpienia, jakie zobaczył na jej twarzy. Miał pewność, że właściwymi słowami potrafi je uleczyć. - Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Chcesz iść na tę kawę, czy nie? - spytała przez zaciśnięte zęby. Jej głos brzmiał twardo, ale on miał wiarę. Więcej, ciągle miał na ustach jej smak, ciągle był wystarczająco blisko, by czuć jej zapach, który potrafił odpędzić najgorsze nocne koszmary Abuku. Jak, do diabła, zdołał się wtedy zdobyć na to, by od niej odejść?

- Tak, chcę iść na kawę - powiedział przez zaciśnięte gardło.

- Więc jedź za mną. - Mówiła chłodnym tonem, co stanowiło kontrast z bólem widocznym w jej oczach. Odwróciła się i sztywno poszła do swojego pikapa.

Drżała tak mocno, że dopiero za trzecim razem zdołała włożyć kluczyk do stacyjki. W końcu udało jej się to tylko dlatego, że chwyciła prawą rękę lewą, by ją usztywnić. Potem zacisnęła obie drżące ręce na kierownicy i wzięła głęboki, bardzo głęboki oddech.

Charlie! Jest tutaj! A co gorsza, pocałował ją! Dzięki Bogu, zdołała się uodpornić psychicznie w tej samej chwili, w której wziął ją w ramiona.

A nie było to wcale takie łatwe. Był taki sam jak kiedyś: szczupły, twardy, nieustępliwy, gorący. Może nawet troszkę szczuplejszy i bardziej nieustępliwy, niż pamiętała. I pachniał tak samo - cytryną, skórą i czymś, co było jego własnym, niepowtarzalnym zapachem. Zalały ją wspomnienia, wzbudzając ból i pragnienie. Chciała tego, o czym wiedziała, że absolutnie nie ma prawa chcieć.

Skończyła z nim - tak samo, jak on wtedy skończył z nią. Gdy tamtego ranka, w Abuku, obudziła się i stwierdziła, że jest w łóżku sama, uznała po prostu, że Charliego gdzieś bardzo wcześnie wezwano. Pracowała dwanaście godzin na dobę w warunkach, na jakie nie każdy by się zgodził, i gdy już zasnęła, spała jak suseł. Prawie nigdy nie słyszała telefonów do Charliego. Nie zdziwiła się, że wyszedł. To już nie raz się zdarzało. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie gorzką prawdę: Charlie odszedł z jej życia.

Dlaczego? Wykrzykiwała na głos to pytanie. Powtarzała je wśród szlochów. Zadawała je sobie setki razy. Ale gdy czasami pozwalała sobie wsłuchać się w ciszę, odpowiedź narzucała się sama. Nie kochał jej. Po prostu.

Problem polegał na tym, że wieczorem przed jego odejściem Cait ośmieliła się porozmawiać o jutrze. Miała na

myśli wszystkie ich wspólne jutra. Miała na myśli wspólną przyszłość. Małżeństwo. Rodzinę. Gdy się obudziła, jego już nie było.

A teraz, po dwóch latach, przyjechał... i chce rozmawiać.

Przecież wszystko się skończyło. Całkowicie się skończyło! I ma teraz innego mężczyznę. Lepszego. Właśnie to powie Charliemu.

Żałowała, że nie „porozmawiali” w szpitalnej poczekalni. Ale jednak chyba lepiej odbyć tę rozmowę gdzie indziej, pomyślała, z zamkniętymi oczami modląc się o siłę. Gdyby zostali w szpitalu, Joyce usłyszałyby każde słowo. Była poczciwą dziewczyną, ale знаła Steve'a, więc obcy mężczyzna i Cait Blasingame odbywający rozmowę od serca w poczekalni szpitala daliby jej mnóstwo plotkarskiego żeru.

We wstecznym lusterku zobaczyła, jak nisko zawieszony sportowy samochód - dobry Boże, czyżby Charlie miał porsche'a? - wyjeżdża z miejsca parkingowego i powoli się zbliża. Widziała Charliego za kierownicą. Patrzył na nią i czekał, aż ruszy.

- No, już - powiedziała sobie stanowczo. - Możesz się na to zdobyć. Porozmawiaj z nim, a potem odejdz.

Niedaleko szpitala było kilka barów. Wybrała taki, w którym nie spodziewała się spotkać znajomych, i zaparkowała przy samych drzwiach. Wysiadła, zaczęła, aż samochód Charliego - to rzeczywiście był srebrzysty porsche! - stanie obok jej pikapa. Ręce bezwiednie zacisnęły jej się w pięści, więc wysiłkiem woli je rozprostowała i opuściła wzdłuż boków.

Drzwi porsche'a otworzyły się i Charlie wysiadł. Ruszał się tak, jakby coś go bolało. Ale ona nie zapyta. Nic ją to nie obchodzi. Ręce znów się zacisnęły.

- Dobrze wyglądasz - powiedział.

- A ty nie - rzuciła szorstko, przyglądając mu się teraz uważniej.

W szpitalu światło było przyćmione, nie wydobyło z cienia nowych bruzd i wklęśnięć na jego szczupłej, mizernej twarzy. To, co zobaczyła, powiedziało jej, że te ostatnie dwa lata były dla niego ciężkie. Zresztą wiedziała o tym, bo widziała zdjęcia w albumie, który wydał. A ona, ostatnia idiotka, go kupiła. Ale na okładce była Resi. Kupiła album ze względu na Resi, bo dziewczynka stanowiła część przejmującej historii, jaką Charlie opowiadał swoimi fotografiami. To był jedyny powód. Ale oczywiście obejrzała wszystko. Dowiedziała się, że z Abuku Charlie pojechał do Afryki, w miejsce jeszcze bardziej spustoszone.

Teraz się do niej uśmiechał, ale zauważyła, że uśmiech nie dociera do jego oczu. Patrzyły poważnie,

- Rzeczywiście, chyba nie - odpowiedział na jej szorstką uwagę o jego wyglądzie. Otworzył przed nią drzwi baru. Cait weszła.

Jeżeli kiedykolwiek wyobrażała sobie, że jeszcze zobaczy Charliego Tropiącego Łosie, na pewno nie sądziła, że odbędzie się to w ostrym świetle baru w Livingston, w gorącą, wietrzną noc.

Charlie nigdy nie miał zamiaru przyjeżdżać do Montany. Nawet pokpiwał sobie z niej, że jest „wiejską dziewczyną”, chociaż czasami miała też wrażenie, że troszkę jej zazdrości. W pierwszym okresie znajomości myślała, że - jak wielu Indian, których znała - urodził się w rezerwacie, a potem wyjechał stamtąd, by znaleźć sobie jakieś miejsce w świecie. Ale tak nie było.

- Jestem prawdziwym człowiekiem z Los Angeles - sprostował jej błędne przekonanie. - Tam się urodziłem i wychowałem. - I w krótkich, szorstkich słowach opowiedział jej resztę. Jego ojciec rzeczywiście urodził się w rezerwacie,

choć Charlie nawet nie wiedział, do jakiego plemienia należał. Opuścił rezerwat, by zaciągnąć się do wojska, a po zwolnieniu do cywila został w Los Angeles.

- Po co miałby wracać do rezerwatu? - Charlie wzruszył ramionami. - Nic tam na niego nie czekało. Poza tym pił. Potrafił pić wszystko.

Poznał matkę Charliego w Los Angeles. Pracowała wtedy jako sekretarka.

- Rodzina mamy pochodziła z pustyń Oklahomy. Byli to Choctawowie. Kiedyś nawet powodziło im się dobrze. Ale w latach trzydziestych wyjechali stamtąd.

Rodzice Charliego byli zaledwie osiem lat po ślubie, gdy ojciec po pijanemu spowodował wypadek samochodowy, w którym zginął. Charlie miał wtedy trzy lata, jego siostra, Lucy, osiem. Matka ciężko pracowała. Tak bardzo skoncentrowała się na tym, by zapewnić im godziwe warunki życia, że zlekceważyła złe samopoczucie i sygnały ostrzegawcze zwiastujące początki cukrzycy, aż było za późno. Umarła, gdy Charlie miał jedenaście lat. Szesnastoletnia Lucy uznała, że jest na tyle dorosła, by się nim zaopiekować.

- Lucy bardzo się starała - opowiadał Charlie którejś nocy. Leżeli w łóżku, słuchali strzelaniny. To był jedyny raz, kiedy Charlie mówił o swojej siostrze. - Nie przypuszczała, jak bardzo jej będzie ciężko. A nie chciała pomocy, nie poprosiła o nią. Bała się, że zabiorą mnie od niej. - Przez długą chwilę Charlie leżał w milczeniu, patrząc w ścianę, nie na Cait. Strzelanina nie ustawała, aż wreszcie Charlie powiedział bezbarwnym głosem:

- Zastrzelono ją na ulicy.

Cait patrzyła teraz na niego, przypominając sobie to wszystko. Charlie zamówił dwie kawy.

- Zjesz coś? - spytał. Pokręciła głową. - Jedną z mlekiem - powiedział do piegowatego chłopca za ladą.

Zdziwiła się, że pamięta, jaką kawę ona lubi. Wcale jej to nie ucieszyło. Gdy płacił, odwróciła się i poszła do stolika w drugim końcu sali, zadowolona, że nie ma tu żadnych znajomych i nie musi nikomu Charliego przedstawiać. Usiadła tak, by widzieć salę i by to ją chroniła ściana za plecami. Charlie chyba to zrozumiał. Podchodząc do stolika, uśmiechnął się trochę niepewnie.

Zauważyła, że porusza się jakoś inaczej, niż zapamiętała. Dawniej Charlie zawsze chodził elastycznym, spokojnym krokiem, przywodzącym na myśl kuguara na łowach.

- Chodzisz jak kot - powiedziała mu kiedyś.

- Jak bezdomny kot - zgodził się.

Teraz jego ruchom brakowało wdzięku. Stapał powoli i ostrożnie, nogi stawiał jakby z wahaniem. Gdy doszedł do stołu, postawił przed nią filiżankę z mieszadką i trzy pojemniczki śmietanki pół na pół z mlekiem, potem postawił również swoją filiżankę i usiadł naprzeciwko. Widziała, jak się skrzywił, gdy zginał nogę, by usiąść.

- Co ci się stało? - Nie mogła o to nie zapytać, ale cieszyła się, że udało jej się nadać głosowi chłodne i obojętne brzmienie.

- Postrzelono mnie.

Uderzyło ją, jak spokojnie to powiedział. Dawny Charlie by sobie z tego żartował. Wziął głęboki oddech.

- Właśnie dlatego przyjechałem. - Jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej na filiżance. - Bo mnie postrzelono. - Kolejny głęboki oddech. Ręce, trzymające kurczowo filiżankę, lekko zadrżały. - Bo niemal umarłem. Właściwie - znów ten jego krzywy uśmieszek uniósł mu kącik ust - naprawdę umarłem. To była śmierć kliniczna, chyba tak to się nazywa. Zobaczyłem wieczność. - Zamilkł, ale nadal wpatrywał się intensywnie w Cait. - A ciebie w niej nie było.



Po drugiej stronie salki grupa nastolatków wybuchnęła głośnym śmiechem, maszyna do mlecznych koktajli kręciła się jak oszalała, z dworu dochodził głos zmotoryzowanego klienta kupującego coś na wynos. A Charlie mówił o tym, że został ranny i umarł, i zobaczył wieczność...

Cait poczuła się tak, jakby cały świat wokół niej zawirował. Szum w głowie ogłuszał ją. Mogła tylko patrzeć. Zastanawiała się, czy Charlie czeka na jej odpowiedź. Ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć. Jednak najwyraźniej nie czekał, bo po chwili kontynuował:

- Nie mogłem się zgodzić na wieczność bez ciebie, więc wróciłem.

- Do życia? - Dzięki Bogu te słowa wypłynęły z jej ust automatycznie, ton był lekko sarkastyczny.

Ale Charlie po prostu skinął głową.

Cait milczała. Drżącą ręką sięgnęła po jeden z pojemniczków ze śmietanką i wlała jego zawartość do filiżanki. Potem zrobiła to samo z drugim i z trzecim. Za dużo mleka. Lubiała dwie porcje, nie trzy. Ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Musiała czymś się zająć. W zdenerwowaniu mieszała kawę. Nie patrzyła na Charliego. Czowała jednak, że on się w nią wpatruje. Badawczo, taksująco. Nagle się rozzłościła. Jak on śmie!

- Pozwól, że to uporządkuję - powiedziała, siląc się na obojętny ton. - Postrzelono cię. Umarłeś. A gdy dostałeś się do nieba, czy piekła, czy gdzie tam to było, i mnie tam nie znalazłeś, postanowiłeś wrócić? - Teraz patrzyła na niego. Jej oczy ciskały błyskawice.

- Mniej więcej. Tak. Oczywiście nie wiedziałem, że umarłem. Wiedziałem, że mnie postrzelono. Dostałem się w krzyżowy ogień. Oberwałem trzy razy. Straciłem mnóstwo krwi. Słyszałem, jak mnie gdzieś wiozą. Słyszałem, jak wrzeszczą na siebie. W końcu musieli mnie dowieźć do

szpitala, bo nagle otoczenie brzmiało mniej jak ulica, a bardziej jak wnętrze budynku. Nosze. Szczęk metalu. Rozumiesz?

Nie czekał na jej odpowiedź.

- Nagle zobaczyłem smugę światła. Było naprawdę jaskrawe, jak słońce na końcu tunelu. A potem smuga zaczęła się rozszerzać, jak w chwili, gdy słońce wschodzi, oświetlając coraz większą połać, i wtedy zobaczyłem ludzi.

Spojrzał jej prosto w oczy, ale zaraz odwrócił wzrok.

- Widziałem ojca - powiedział spokojnie. - I matkę. I siostrę.

- Wszyscy od dawna martwi - stwierdziła Cait niecierpliwie. Kiedyś jej mówił, że z całej rodziny tylko on żyje.

- A potem zobaczyłem Chase'a i Joannę, i ich dzieci. I Cavanaughów, i Craigów. Pamiętasz, jak ci o nich opowiadałem?

Niechętnie skinęła głową. Ci ludzie byli przyjaciółmi Whitelawów i, jeśli nie zdarzyła się jakaś totalna katastrofa, z całą pewnością żyli i mieli się dobrze.

- I kolegów z liceum. Widziałem mnóstwo ludzi. - Przerwał i przez długą chwilę wpatrywał się w blat stolika, a potem znów podniósł wzrok. - Ale ciebie nie widziałem.

- Może mnie nie zaproszono - powiedziała Cait cierpko.

- To prawda.

- Więc...

- Bo ja cię opuściłem.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Kocham cię.

Och, Boże, nie, proszę, tylko nie to! Nie pozwalaj mu tego mówić. Cait zacisnęła ręce na filizance tak mocno, że mało brakowało, by ją zgmiotła.

- Przestań - powiedziała wściekłe przez zaciśnięte zęby. - Nie - chcę - tego - słuchać.

- Kiedy to prawda.

- Więc wyszedłeś w środku nocy dlatego, że mnie kochałeś? Charlie przeciągnął ręką po włosach.

- Wtedy o tym nie wiedziałem. Nie chciałem tego wiedzieć - poprawił się.

- Jak to miło z twojej strony - powiedziała Cait z goryczą.

- Tyle że teraz ja nie chcę o tym wiedzieć.

Chciała odepchnąć krzesło, ale uświadomiła sobie, że siedzi przy ścianie i nie ma na to miejsca. Tak więc niezręcznie wydobyła się z niego i wstała.

- Idę do domu.

Charlie też wstał, z trudem podnosząc się z krzesła.

- Cait, zostań. Wypij kawę. Porozmawiaj ze mną. Boże, wiem, że to niesamowite... Ale tak naprawdę było.

- Może to i prawda, ale co z tego? Nie muszę tego wysłuchiwać! - Ruszyła do drzwi. Uparcie szedł za nią.

- Cait, posłuchaj. Wiem, że cię skrzywdziłem. Bardzo cię skrzywdziłem. Przykro mi.

Szła prosto przed siebie, z wysoko uniesioną głową. Zatrzymała się dopiero przy swoim pikapie. Wtedy odwróciła się, by stawić mu czoło.

- No, tak. Mnie też jest przykro. Ale sprawa już jest przebrzmiała. Skończona. Charlie, przecież minęły dwa lata!

- To niewiele w porównaniu z wiecznością. - Mówił spokojnie, pewnym tonem.

A ona nie była ani spokojna, ani pewna siebie. Skrzyżowała ręce na piersi, a mimo to zadrżała. Nie chciała się odwrócić i spojrzeć na Charliego, ale wiedziała, że musi, że on nie da jej tak po prostu odejść. Więc się odwróciła i popatrzyła mu prosto w oczy. Atak jest najlepszą obroną. Wes zawsze jej to powtarzał.

- No więc, po co przyjechałeś? Czego chcesz?

Charlie stał przed nią niewzruszenie. Teraz już nie wydawał się niezręczny. Był opanowany, chłodny. Jak strzelec wyborowy, pomyślała. Jak mężczyzna, który potrafi się kontrolować.

- Cait, chcę, żebyś za mnie wyszła.

No i po co pytała? Wszystkie cudowne marzenia, jakie kiedyś snuła, o przyszłości, o nich dwojgu, o całym życiu, a potem wieczności we dwoje, jeszcze raz odżyły. Bezlitośnie je odepchnęła.

- Ja właśnie wychodzę za mąż - za kogoś innego. Charlie się nie poruszył. Otworzył usta, ale przez długą chwilę nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Nie możesz - powiedział w końcu.

Cait wpadła w taką furję, że zrobiło jej się czerwono przed oczami.

- Co to znaczy: „nie możesz”? Do diabła, kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mogę robić, a czego nie?!

- To znaczy... pocałowałaś mnie. Ty...

- To ty mnie pocałowałeś!

- A ty odpowiedziałaś.

- Nie!

Tak, na sekundę mu uległa. Oczywiście zaraz to w sobie zdławiła. Mocniej oplotła się rękami.

- Nie, nie odpowiedziałam - powtórzyła z całą stanowczością i spokojem, na jakie mogła się zdobyć.

- Cait - wymówił jej imię łagodnie, przymilnie, perswazyjnym tonem.

- Nie. Przykro mi, że otarłeś się o śmierć. Przykro mi, że niemal umarłeś. Doceniam fakt, że „brakowało” ci mnie w „wieczności”. Ale wychodzę za mąż za kogoś innego.

- Kto to jest?

- Nie znasz go.

- A ty jesteś pewna, że go znasz?

- Jak śmiesz! Jak śmiesz ładować się z powrotem w moje życie po dwóch latach i liczyć, że rzucę ci się w ramiona? Charlie, zadałeś mi ból! Odszedłeś! Porzuciłeś mnie z zimną krwią i nigdy nie wytłumaczyłeś mi, dlaczego. Ale teraz sama już to wiem. Nie jestem taka głupia i w końcu zrozumiałam. Chciałeś jedynie romansu, niczego więcej. Nie chciałeś małżeństwa. Nie chciałeś tego, czego ja pragnęłam. Nie kochałeś mnie.

- Ja...

- Nie kochałeś mnie - powtórzyła. Nie pozwoli mu się tego wyprzeć. - A to bolało. Jednak uporałam się z bólem. Już mam to za sobą. Stworzyłam sobie nowe życie. Mam pracę. I narzeczonego. Ma na imię Steve. Jest kardiologiem. I tak, znam go. I kocham go! Jest wart dziesięciu takich jak ty.

Charlie milczał. Pozwolił jej, by dała upust swoim uczuciom. Postąpił mądrze.

- Pewnie jest więcej wart - powiedział spokojnie, gdy zamilkła. - Ale ja cię kocham. I ty też mnie kochasz. Gdybyś mnie nie kochała, nie... - zagłuszył jej protest - nie zareagowałabyś tak na mój pocałunek.

- Charlie, nie odpowiadam za to, co wyczytujesz między wierszami. Słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. Zawsze tak było.

Jej strzała dosięgła celu. Zobaczyła jakiś błysk w jego oczach, na policzku drgnął mu mięsień.

- Kocham cię - powtórzył. - Źle zrobiłem, odchodząc. Byłem głupcem. - Nadal mówił spokojnie, chociaż z coraz większym naciskiem. - Cait, nie popełniaj tego samego błędu, jaki ja popełniłem.

- Swój jedyny błąd - odparta z całą brawurą, na jaką mogła się zdobyć - popełniłam dwa lata temu, kiedy się w tobie zakochałam.

- A więc - zaszczebiotała Gaby. Charlie leżał na łóżku w motelowym pokoju i wpatrywał się w sufit. - Kiedy ślub?

- Bardzo zabawne - mruknął.

- Och. - Natychmiast zmieniła ton. - Rozmawiałeś z nią?

- Tak. I nie chce za mnie wyjść. Bierze ślub z kimś innym.

- Z kim?

- Jakimś Steve'em. Kardiologiem. A teraz już wiesz to samo, co ja - powiedział Charlie ze złością. - Więc dlaczego po prostu nie dasz temu spokoju?

Chwila ciszy. A potem:

- A ty zamierzasz zrezygnować?

Charlie nadal wpatrywał się w sufit, ale widział tylko Cait, krzyżującą rozpaczliwie ręce na piersi, jakby broniła się przed nim - a może przed sobą? Przecież nie wyobraził sobie tej jej trwającej ułamek sekundy reakcji. Na pewno nie. Znał Cait, Znał jej ciało, znał sposób, w jaki reaguje, w jaki kocha. Ale czy potrafi ją przekonać? I czy w ogóle ma prawo tego próbować?

Tak, oczywiście, że ma prawo. Jeżeli Cait jeszcze go kocha, nie może wyjść za innego! A on nie może jej pozwolić na popełnienie tak głupiego błędu.

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie zrezygnuję.

Dwa lata temu wcale nie było mu łatwo odejść od Cait. Teraz już od niej nie odejdzie. Nie odejdzie, póki istnieje choć iskierka nadziei. A on miał nadzieję. Chociaż tak zawzięcie temu przeczyła, nadal go kochała, nadal coś do niego czuła, nawet jeżeli okazała to tylko przez jeden króciutki moment.

Charlie był fotografem. Zbudował swoje życie na chwilach uchwyconych w mgnieniach migawki. I to właśnie wychwycił w reakcji Cait.

- Wspominałaś o jakichś swoich znajomych, którzy mają tu chatę? - spytał Gaby.

- Tak. To Brenna McCall.
- Myślisz, że by mi ją wynajęła?
- Planujemy długie obłęzenie?
- Nie wiem, o co ci chodzi. Wynajmie mi swoją chatę?
- Mogę zadzwonić i ją zapytać. Pamiętasz, już ci to proponowała.

Wtedy Charlie nawet nie pomyślał, że będzie musiał się zatrzymać w Montanie na dłużej. Myślał tylko o tym, by znaleźć Cait. Wtedy planował na krótkie terminy. Teraz już nie.

- Byłbym ci wdzięczny - powiedział.
- Mam jej powiedzieć, dlaczego chcesz tam zamieszkać? Podać prawdziwy powód? Czy też wolisz, żebym nałgała, że potrzebujesz spokojnego miejsca, by odzyskać siły i zrobić kilka ślicznych zdjęć? Brenna wie, że znasz Cait, ale nie wchodziłam w szczegóły.

- Powiedz jej tylko, że szukam nowych tematów. Pracuję nad nową wizją.

Gaby zachichotała.

- A jaka będzie ta twoja nowa wizja?
- Nie wiem. Powiem ci, kiedy już ją uchwycę.
- Podam Brennie twój numer do motelu. Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko wynajęciu ci chaty. Na wiosnę urodziło im się z Jedem jeszcze jedno dziecko, więc na razie nie będzie tam jeździła, by malować. Jeżeli do jutra się do ciebie nie odezwie, zadzwoń do mnie.

- Dobrze. I... dziękuję.
- Och, ciągle robię takie rzeczy dla swoich klientów. - Gaby się roześmiała. - Ale mam nadzieję, że jednej ze swoich córek dasz moje imię.

Jednej z córek. Dzieci jego i Cait. Przerazająca myśl. Właśnie takie myśli zmusiły do go odejścia dwa lata temu. A

teraz - Charlie znów wpatrzył się w sufit - jest to jego najgorętsze życzenie.

- Doktor Carmichael. - Głos był zachrypnięty od snu i Cait natychmiast poczuła wyrzuty sumienia.

- Steve, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy... - Spojrzała na zegar. Dochodziła druga w nocy. - Zadzwoń jutro.

- Nie, nie odkładaj słuchawki. - Odchrząknął, ziewnął. - Co się stało? Trudna noc?

- Nie - powiedziała szybko Cait, bo noc była trudna, ale nie o to chodziło. - Po prostu... czułam się samotna.

A raczej udręczona bólem. Po konfrontacji z Charliem przez całą drogę do domu wstrząsały nią dreszcze. Usiłowała głęboko oddychać i wyciszyć szalejące tętno. Ścisnęła kierownicę z całej siły, jakby w ten sposób mogła zapanować nad uczuciami.

Sam jego widok wystarczyłby, żeby dostać palpacji serca. A jeszcze na dodatek oświadczyły - to była ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała. I chciała. Nie potrzebowała tego! I wcale nie potrzebowała Charliego!

Po powrocie do domu wściekle przemierzała pokój, potem wzięła długi prysznic w nadziei, że zdoła zmyć z siebie wspomnienia i uspokoić gonitwę myśli. Ale to nic nie pomogło. Nic nie zdołało jej uspokoić. I nic jej nie pomoże, uświadomiła sobie, póki nie porozmawia ze Steve'em.

Potrzebowała kontaktu z prawdziwym mężczyzną swojego życia, a nie z tym, który, ot tak, wpadł z powrotem na scenę. Teraz, zwinięta w fotelu, otuliła się szlafrokiem i czekała, aż dźwięk cichego, sennego oddechu Steve'a spłynie jak balsam na jej podrażnione nerwy. Usłyszała w słuchawce jego kolejne ziewnięcie. Potem się przeciągnął.



- Cait, moja kochana... - w jego zaspanym głosie wyczuła uśmiech. - Zawsze lubię z tobą rozmawiać. Nawet w środku nocy. Twój tato dobrze się czuje?

- Tato tak. To ja poczułam się trochę samotna. Cashowi i Milly Callahanom urodził się dziś synek.

- Ach. - Steve uśmiechnął się. - Hormony się odezwały.

- Może. Tak. To musi być to. - Lepiej myśleć o tym niż o Charliem.

- Może spotkamy się na śniadaniu? - zaproponował Steve.  
- Jutro będę w Livingston.

- Chyba nie będę mogła. Ale może wieczorem? Chciałbyś pójść do kina?

- Dobrze, jeżeli tylko twój pager się nie odezwie. - Słyszała w jego głosie uśmiech.

- Albo twój.

Oboje zachichotali. Tak, pomyślała Cait, czerpiąc siłę z tej myśli. Oni oboje doskonale się rozumieją.

- No to idziemy do kina. - Steve znów ziewnął. - Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

Po prostu mów do mnie - chciała poprosić. Ale nie mogła trzymać tak Steve'a całą noc tylko po to, by przestać myśleć o Charliem.

- Nie, już wszystko w porządku.

- Na pewno? A może chcesz, żebym zaraz do ciebie przyjechał?

Cait roześmiała się.

- Nie trzeba. Już dobrze. Ja... dziękuję ci.

- Zawsze jestem do twojej dyspozycji - przypomniał jej. - Zobaczymy się jutro wieczorem. Zadzwoń do ciebie.

- Dobrze.

- Dobranoc. Śnij o mnie.

Ale to nie Steve jej się przyśnił. Śniła o Charliem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Brenna zgodziła się wynająć Charliemu chatę, a jej ojciec, Otis, pożyczył mu swoje auto, odpowiedniejsze na wiejskie żwirowe drogi niż porsche. Pojechali tam następnego dnia rano. Brenna poprzedzała Charliego konno, wskazując mu drogę.

Przyprowadziła też drugiego konia, który, jak powiedziała, może się tutaj paść, a będzie lepszy do jazdy po wzgórzach niż samochód. Charlie nie był tego aż taki pewny, ale nie protestował.

- Nie będzie ci się chciało chodzić wszędzie na piechotę - przekonywała go Brenna. - A Babe jest łagodna. Polubisz ją.

Pokazała mu, jak włączać generator, wskazała stos drewna na wypadek, gdyby chciał rozpałić w kominku w chłodny wieczór. Potem stanęła na progu i głęboko odetchnęła.

- Polubisz to miejsce - powiedziała. - I znajdziesz to, czego tu szukasz.

Charlie miał nadzieję, że tak się stanie. Poza tym wmawiał sobie, że zamieszkanie w sąsiedztwie to dobry początek. Ułoży sobie plan gry, wymyśli, jak przekonać Cait, by wpadła mu w ramiona.

Brenna odjechała i został sam. Denerwowała go ta absolutna cisza. Coś okropnego, myślał. Nie do wytrzymania.

Przespacerował się wokół chaty, zachwycił widokami rozciągającymi się za doliną Shields, spojrzał w kierunku wzgórz, o których Brenna powiedziała, że noszą nazwę Szalonych Gór.

- Dlaczego Szalone? - spytał.

- Podobno pewna stara kobieta właśnie tam oszalała z samotności.

Gdy popołudnie przeszło w wieczór, a wieczór w noc, a on nadal nie zobaczył ani nie usłyszał żywej duszy, zaczął sobie uświadamiać, co Brenna miała na myśli. Tej nocy

zaśnięcie przyszło mu z trudem. Było tu za spokojnie. I miał za dużo do przemyślenia.

Był tutaj. W rodzinnym stanie Cait. Na ziemi, którą ona nazywa domem.

Obudził się dopiero w południe. Nigdy nie spał tak mocno.

I nigdy tak długo. To z powodu wysokości, powiedział sobie. Ale nie czuł się zmęczony. Przeciwnie, czuł przyływ energii i ciekawości, jaki to też jest ten nowy dla niego świat. Pierwszy dzień spędził w chacie. Nie zobaczył nikogo. Z nikim nie rozmawiał. Słyszał tylko parskanie Babe, paplaninę pary sójek, od czasu do czasu jakieś pohukiwanie, najprawdopodobniej sowy, odgłos własnych kroków, gdy chodził po małej, po spartańsku urządzonej chacie. A poza tym słyszał wiatr.

Jak mówił Chase, najpierw Charlie sam musi odzyskać równowagę, znaleźć harmonię z tą ziemią, z tym światem, do którego Cait należy. A wtedy, jeśli Bóg da, Cait też podejmie właściwą decyzję.

Pierwsze dni w chacie nie były łatwe. Charliego bez przerwy kusilo, by zjechać na dół i szturmem wdrzeć się w życie Cait. Ale im dłużej tu był, tym lepiej rozumiał, że szturmowanie nic mu nie da. Coś się w nim zaczynało zmieniać. Przyjechał tu, by odszukać Cait, ale zaczynał odszukiwać siebie.

Na początku nie wybierał się na dłuższe wędrówki. Noga ciągle jeszcze mocno mu dokuczała. Była słaba, a grunt nierówny. Kilka razy osiodłał Babe i jechał na niej, ale we dwoje odstraszały napotkane zwierzęta. A im dłużej Charlie tu mieszkał, tym bardziej pragnął zobaczyć zwierzęta, o których opowiadała Cait. Tak więc zaczął zostawiać Babe koło chaty i wędrował sam. W ten sposób było łatwiej obserwować, zatrzymać się, słuchać.

Ten świat był całkowicie inny niż ten, który znał. Bez betonu i szkła, telegrafu i krat na oknach. Równie dobrze mógłby być na innej planecie. Charlie widział teraz szczyty gór, łąki, brykające konie i pasące się stada. Robił zdjęcie za zdjęciem, czując się jak dziecko w sklepie z cukierkami.

Przez tydzień Cait czekała, aż uderzy w nią grom. Ostrożnie obchodziła węgły domów, bez przerwy spodziewając się widoku Charliego. Nerwowo podnosiła słuchawkę telefonu pewna, że usłyszy jego głos. Ale mijał dzień za dniem, skończył się tydzień, a on nie dał znaku życia. Minęły dwa tygodnie, i nadal się nie odezwał. Niemal zaczęło jej się wydawać, że spotkanie z nim tylko jej się przyśniło.

Każdego dnia Charlie wybierał się troszkę dalej. Chora noga była coraz mocniejsza. Lekarz powiedział mu, że już do końca życia będzie kulał. Ale z każdą przechadzką czuł się lepiej, miał więcej sił, mięśnie się wzmacniały, i następnego dnia szedł jeszcze dalej. Do tej pory rzadko chodził na piechotę. Po co, skoro miał porsche'a?

W najwcześniejszej młodości gorąco marzył o samochodzie. Gdy poznał Chase'a, ten miał porsche'a. Ukradziono mu go, a Charlie go znalazł i pomógł Chase'owi ukraść go z powrotem. Waśnie wtedy on i Chase zaprzyjaźnili się.

Potem świadomie wzorował się na Chasie. A gdy zarobił już trochę pieniędzy, porsche był pierwszą rzeczą, jaką sobie kupił.

Nie rozumiał, jak Chase mógł sprzedać porsche'a po tym, jak ożenił się z Joanną. Ale skoro Chase zamienił swój wóz na rodzinny samochód, Charlie zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście on też nie chciałby pójść w jego ślady.

Czasami jeździł na Babe, chociaż rzadko, ale rozmawiał z nią codziennie wieczorem, gdy szedł na łąkę, by poczęstować ją kostką cukru. Była jedyną istotą, z którą rozmawiał.

Telefon komórkowy wyłączył. Nie chciał, by mu przeszkadzano w poznawaniu nowego świata.

A ten świat, który pierwszego dnia był dla niego obcy, kilka dni później wcale mu się już taki nie wydawał. Nawet cisza nie była już taka absolutna. Przyroda miała właściwe sobie odgłosy i rytm życia. Po prostu trzeba było inaczej nastroić słuch, by wszystko to słyszeć. Pół roku temu bębniłby palcami z niecierpliwości, by się stąd wyrwać, wrócić tam, gdzie coś się dzieje.

Teraz lubił to, co działo się tutaj. Lubiał to miejsce. I czuł jakąś nieokreśloną więź z Cait, mimo że się z nią nie widywał.

To jej opowieści przychodziły mu do głowy, gdy wieczorem szedł spać. Jej słowa, jej wspomnienia wracały do niego, gdy wędrował w dzień po górach. Było tak, jakby znajdowała się obok niego, szła obok niego, jakby dzielił z nią jej dom.

Powiedziała mu kiedyś, że tylko dzięki świadomości, że całe piękno tej ziemi tu jest i czeka na nią, wytrzymywała pracę pośród ruin i nieszczęść. Wspomnienia dawały jej nadzieję. A teraz i jemu dawały nadzieję, chociaż zupełnie innego rodzaju. Dawały mu nadzieję, że nie wszystko jest jeszcze stracone, że nie odrzuciła go ostatecznie, że jej ból może być pokonany i ukojony.

Że Cait go kocha.

- Cait, przykro mi, że muszę cię o to poprosić - powiedział ojciec, uśmiechając się do niej niepewnie z fotela przy oknie - ale wiem, że dziś masz wolny dzień.

- Nie szkodzi - odparła Cait. - Sprawdzanie stad to miła odmiana.

- Będziesz za tym tęsknić, jeżeli wyjedziesz do Denver.

- Kiedy wyjadę - poprawiła go. Ale zgodziła się z jego słowami. - Tak. Będę tęskniła.

Kochała ranczo, kochała zmieniające się pory roku i pracę, jakiej wymagały.

- Może go namówisz do zostania tutaj? Cait przecząco pokręciła głową.

- On chce pracować w dużym szpitalu. I chce uczyć.

- A ty, Cait? Czego ty chcesz? Cait wzięła głęboki oddech.

- Jego - odparła stanowczo. - Chcę jego.

Gdy pierwszy raz natknął się na niedźwiedzie, przeżył szok. Nigdy jeszcze nie widział niedźwiedzia poza ogrodem zoologicznym. Trochę się przestraszył, gdy sobie uświadomił, że od zwierzęcia nie dzieli go żadna bariera. Ale jednocześnie doznał prawdziwej fascynacji. Przykucnął za kępą krzaków i obserwował. Była to niedźwiedzica z dwojgiem małych. Stały na brzegu strumienia, matka coś pokazywała, dzieci patrzyły. Potem z głośnym pluskiem weszły do wody. Matka obrzuciła je karcącym spojrzeniem.

Charlie uśmiechnął się, podniósł aparat do oka i zaczął strzelać jedno zdjęcie za drugim. Z początku nie bardzo rozumiał, na co patrzy. Ale zaraz uświadomił sobie, że to lekcja. Lekcja łowienia ryb. Charlie, zachwycony, wypstrykał pół tuzina filmów. I w końcu złapał chwilę triumfu, gdy jednemu z niedźwiedziątek udało się złowić małą rybkę. Niedźwiedzica rzuciła mu aprobowane spojrzenie, odwróciła się i pobiegła w stronę drzew. Małe pluskały się jeszcze przez chwilę, a potem popędziły za matką.

A Charlie po raz pierwszy od ponad godziny spróbował się wyprostować, ale okazało się, że nie może zgiąć kolana. Wreszcie, uszczęśliwiony wstał, rozmyślając już o tym, że jutro też tu przyjdzie. Był tak przejęty, że nie patrzył pod nogi. Nie zauważył większego, luźno leżącego kamyka, dopóki nie nastąpił na niego. Chora noga mu się ugięła, upadł, stoczył się po zboczach i wpadł w kępę krzaków.

Oszołomiony, leżał zbierając zmysły. Na ustach czuł smak krwi. Wreszcie powoli się podniósł do pozycji siedzącej. Ciężko oddychał. Z rozciętej wargi ciekła mu krew, twarz miał pokierszowaną. Koszula się podarła, był brudny i podrapany, ale chyba nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń. Gdy wreszcie wstał, noga tak go bolała, że jęknął.

Po powrocie do chaty musi przyłożyć lód. Przypomniawszy sobie jednak, że nie miał lodu. Malutka lodówka zasilana z generatora nie była wyposażona w zamrażalnik. Fatalnie. Po prostu musi wytrzymać ten ból.

Dopiero gdy usłyszał szmer strumienia, zaczął myśleć rozsądnie. Przypomniawszy sobie, jak podczas pierwszego spaceru zauważył, że w tych strumieniach woda jest lekko zamrznięta. Nie jest to całkiem lód, ale zawsze coś. Po drugiej stronie ogrodzenia za chatą strumyk tworzył małe zakole, coś w rodzaju sadzawki. Wyglądało to na świetne miejsce do kąpieli, jeżeli tylko człowiek nie bał się, że zamieni się w bryłę lodu. Charlie dotarł do ogrodzenia, przecisnął się między kolczastymi drutami, a potem z mozołem zaczął się wspinać na wzgórze, za którym była sadzawka.

Za gęstymi zaroślami pał się czarny koń, a na pobliskiej skałce leżała kupka ubrań. Gdy Charlie stał nieruchomo i wpatrywał się w niespodziewany widok, z wody wynurzyła się gładka, ciemna główka, a zaraz potem całe szczupłe, nagie ciało. To nie był kowboj. Ciało miało zbyt wdzięczne zaokrąglenia jak na kowboja. Było zbyt śliczne. To było kobiece ciało.

Charlie zastygł w bezruchu i tylko wlepił oczy w idącą ku niemu nagą kobietę. A potem uświadomił sobie, kto to jest, i serce zamarło mu w piersi.

Bóg musi mieć dziwaczne poczucie humoru. Bo Cait wcale się nie uśmieła, gdy wyszła z sadzawki, spojrzała do

góry i zobaczyła Charliego. W pierwszym odruchu chciała z powrotem zanurkować. Ale nie zrobiła tego. Po co Charlie ma myśleć, że jego obecność wywiera na niej jakiegokolwiek wrażenie.

- Co ty tu robisz?! - krzyknęła. A zaraz potem: - Co ci się stało? - bo zauważyła zadrapania i podartą koszulę. Jednocześnie usiłowała dostać się do swojego ubrania.

Niestety, Charlie stał jej na drodze. Uśmiechał się od ucha do ucha, szybko kuśtykając w dół, do niej, chyba nawet nie zdając sobie sprawy, że jest zakrwawiony i posiniaczony.

- Nie podchodź! - krzyknęła. Spiorunowała wzrokiem jego rozradowaną twarz. Była wściekła, zażenowana. Pragnęła tylko, by się odwrócił i dał jej dojść do ubrania. Oczywiście tego nie zrobił. - Mógłbyś się odwrócić - warknęła lodowato. - Tak byłoby uprzejmiej.

Charlie roześmiał się.

- Cait, daj spokój. Przecież widywałem cię bez niczego. Niestety, mówił prawdę. Tak więc z furią przemaszerowała obok niego, porwała koszulę i wciągnęła ją na siebie, nie fatygując się wkładaniem stanika.

Nie powinna była tu przychodzić, żeby sobie popływać. Przecież nie jest już dzieckiem. Tyle że dziś miała dzień wolny od kliniki i od rana przeprowadzała bydło. To miła odmiana po jej zwykłej pracy, ale na koniec była okropnie zmęczona i zgrzana. Podjęła decyzję impulsywnie, pod wpływem chwili. I najwyraźniej popełniła wielki błąd.

Cały czas była świadoma, że Charlie jej się przygląda. Kiedyś lubiła, gdy na nią patrzył. W takich chwilach czuła się godna pożądania, seksowna i kochana. Ale teraz była tylko zła.

Mając już na sobie koszulę i majtki, i trzymając przed sobą dzinsy, poczuła się wystarczająco okryta, by odwrócić się i spiorunować Charliego wzrokiem.



- Co ty tu robisz? Dlaczego nie wyjechałeś?! - krzyknęła. Charlie wskazał w kierunku, z którego przyszedł.

- Mieszkam teraz tam, za wzgórzem. Wynająłem chatę McCallów.

Cait wcale się to nie spodobało.

- Dlaczego?

- Z początku zostałem dlatego, że ty tu jesteś.

- Szpiegujesz mnie?

- Oczywiście, że nie. To był... - uśmiechnął się kącikiem ust - łut szczęścia. Przecież musiałem gdzieś zamieszkać, prawda?

Nie, nie musiał. Powinien był dawno stąd wyjechać. Ale zanim zdążyła mu to powiedzieć, on już kontynuował:

- A Gaby zna Brennę. Poza tym zostałem tu również ze względu na moją pracę.

- Czyżby w Montanie toczyła się właśnie wojna, a ja o tym nie wiem? - spytała sarkastycznie. Bo sądząc z jego wyglądu, tak właśnie mogło być.

- Inna wojna niż między nami? - upewnił się Charlie.

- Między nami nie ma wojny. Między nami nie ma nic.

- Jest przeszłość.

- Właśnie.

- A ja chcę, żebyśmy mieli również przyszłość.

- Ale ja nie chcę.

- Nie będę wywierał na ciebie presji.

- Wobec tego, co tu robisz? I nie opowiadaj mi bzdur o swojej pracy. Ty fotografujesz wojny, tragedie, zniszczenia, ból.

- Już nie.

- Więc co? Zachody słońca? Dzikie kwiaty? Ośnieżone szczyty gór? - spytała z ironią. W czasach gdy się znali, takie rzeczy w ogóle nie były dla niego żadnym tematem.

Nie przyjął wyzwania.

- Do dziś nie byłem całkiem pewny, ale teraz wydaje mi się, że na coś trafiłem - powiedział poważnie. - Fotografowałem niedźwiedzie.

- Niedźwiedzie? - zdumiała się.

- Tak. Przyszły nad strumień. Matka i dwa maluchy. Uczyła je łowić ryby.

Nie chciała w to uwierzyć, ale gdy spojrzała Charliemu w twarz, zobaczyła ten sam entuzjizm, jaki widziała dwa lata temu, kiedy fotografował bardzo odmienne sceny.

- I zaatakowały cię? - spytała sucho.

Popatrzył po sobie, uświadamiając sobie dopiero teraz, jak wygląda.

- Ach, nie. - Wzruszył ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia. - Upadłem. - Uśmiechnął się szelmowsko, ale gdy spojrzał na jej nogi, jego uśmiech zamarł. - Mogłabyś wreszcie włożyć dzinsy? - spytał gwałtownie.

Czy mogłaby włożyć dzinsy! Tak jakby tu stała tylko po to, by go uwieść, roztaczając przed nim swoje wdzięki! Poczwała, że wszystko się w niej gotuje.

- Oczywiście - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Ale nie ruszyła się i nadal piorunowała go wzrokiem. W końcu zrozumiał, o co jej chodzi, i z lekceważącym wzruszeniem ramion odwrócił się.

- Chyba nie zapomniałaś, jaki jestem wrażliwy na takie widoki - powiedział, nie okazując najmniejszej skruchy.

Cait zazgrzytała zębami bo, do diabła, pamiętała to. Wspomnienie czasów, gdy na sam widok wrzała w nich krew, wracały stanowczo za łatwo.

- Och, nie chcę cię wodzić na pokuszenie - powiedziała.

- Nie musisz nic robić, żeby tak się stało - odparł Charlie z żalonym uśmiechem.

Pod jego spojrzeniem mimo ubrania Cait czuła się naga.

- Powinieneś posmarować czymś to rozcięcie na ustach - powiedziała ochryple.

Charlie obojętnie dotknął wargi.

- Zrobię to. Ale najpierw chciałem zanurzyć nogę w zimnej wodzie. - Pokazał palcem nogę, na którą kulał.

- Zraniłeś się? - Teraz pytała jako pielęgniarka. Na pewno nie dlatego, że ją to obchodziło.

- To nic takiego. Lekarze zawsze mówili, żebym przykładał lód. A w chacie nie mam lodu, ale przypomniałem sobie o tej sadzawce.

- A więc zostawiam cię tu, żebyś zrobił to, co trzeba. - Zebrała z ziemi buty i skarpetki i ruszyła do swojego konia, zadowolona, że na tym spotkanie z Charliem się skończyło.

Zawołał ją, zanim zdążyła przejść kilka kroków.

- Co takiego? - Odwróciła się niechętnie.

- Zostań.

Żeby patrzeć, jak on zdejmuje dzinsy i moczy nogę?

- Nie mogę. Mam robotę - odparła nerwowo. Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się.

- Boisz się.

- Boję się? Czego?

- Uświadomienia sobie, że nadal mnie kochasz... pragniesz mnie. - Wypowiedział to miękkim tonem, ale i tak wyczuła w nim wyzwanie.

- Jeżeli twierdzisz, że nie jestem w stanie oprzeć się urokom twojego ciała, to jesteś w błędzie.

- Udowodnij to.

Cait wyniośle uniosła brodę.

- Dobrze! - krzyknęła, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. - Udowodnię ci. No, już. Rozbieraj się. Zdejmij dzinsy. Przekonasz się, czy to wywiera na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Charlie powoli podniósł ręce do klamry spodni i - niech go szlag! - zaczął się rozbierać. Jeszcze nigdy nie był tak świadomy swojego ciała. Nigdy nie przejmował się tym, że jakaś kobieta widzi go nagiego. Nie uważał, że męskie ciało jest tak samo wspaniałe jak kobiece, ale zawsze był dumny ze swojej szczupłej, mocnej figury i sprawnych mięśni. Nigdy nie przejmował się bliznami, skazami i bruzdami, którymi burzliwa przeszłość naznaczyła jego ciało. Uważał je za honorowe odznaki, świadectwo własnej nieustępliwości, twardości i determinacji, by przeżyć.

Ale tak było przedtem. Teraz widział to inaczej.

Jego ciało zbrzydło. Nie było już gibkie, zręczne i w dobrej kondycji. Zraniona noga, oszpecona czerwonymi bliznami i zmarniałymi mięśniami nie była czymś, co można by podziwiać. Wprost przeciwnie, sam widok najprawdopodobniej wzbudziłby w Cait obrzydzenie. Tak samo jak blizny na jego piersi. Nie chciał ich nikomu pokazywać, a już zwłaszcza nie tej jedynej kobiecie, na której pragnął wywrzeć dobre wrażenie. - Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zakpił z siebie w duchu, bo Cait, która w końcu dała się sprowokować, stała przed nim boso, niewzruszenie, i czekała. Wyobraził sobie, że widzi na jej twarzy szok i odrazę. Wyobraził też sobie, jak porównuje jego ciało z ciałem tego jej kardiologa. Charlie nie wierzył, że facet jest naprawdę atrakcyjny, ale na pewno nie był też ostatnią łamagą.

Powoli opuścił ręce. Pokiwał głową.

- Nie teraz.

- Dlaczego? - Wpatrzyła się w niego ze zdumieniem. Wzruszył z irytacją ramionami i wskazał głową niebo za jej plecami.

- Zbiera się na burzę. - Rzeczywiście, chmury były teraz o wiele ciemniejsze. - Powinnaś wracać do domu.

- Dwie minuty temu też zbierało się na burzę.

- Tak, to prawda. Ale zapomniałem, że jesteś konno. Cały czas będziesz jechała odkrytym terenem. Wysokie obiekty. Błyskawice. Zabrało mi to chwilę, ale w końcu to sobie uświadomiłem. Jestem chłopakiem z miasta, pamiętasz? Jedź już, bo przemokniesz.

Ale Cait, niech ją szlag, nie poruszyła się. Bacznie mu się przyglądała.

- Charlie, dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak! - Rzucił jej wściekłe spojrzenie. - Dlaczego miałbym się źle czuć?

- Twoja noga...

- Z nogą wszystko w porządku. Mówiłem ci już. Po prostu wreszcie się zastanowiłem. I muszę uciekać od deszczu, nawet jeżeli ty zamierzasz tu zostać.

Gdy nadal się nie poruszyła, wzruszył ramionami.

- No, dobrze. Zostań, jeśli chcesz. Przedstawienie skończone. Jeżeli nie chcesz wracać do domu, to twoja sprawa. Ja idę.

Okręciłby się na pięcie i dziarsko ruszył w górę, gdyby nie to, że wtedy rozłożyłby się jak długi. Tak więc ostrożnie, drepcząc w miejscu małymi kroczkami, odwracał się tak długo, aż stanął przodem do drogi, którą tu przyszedł. Wspinając się po zboczu, nasłuchiwał szmeru wkładania butów, kroków Cait idącej do konia, ale nie usłyszał nic, dopóki nie znalazł się prawie na szczycie.

A wtedy zawołała:

- Mówisz, że przedstawienie skończone? A mnie się wydaje, że jeszcze nawet się nie rozpoczęło!

Gdy się jest pielęgniarką, cały kłopot polega na tym, że wieszcznie poczuwasz się do odpowiedzialności. Widzisz kogoś ранego i czujesz się zmuszona pomóc. Cait wmawiała sobie, że gdyby miała choć trochę rozsądku, a przy tym nie była

pielęgniarką, siedziałaby teraz w domu, czytała książkę albo grała z ojcem w karty, zamiast walić w drzwi chaty McCallów.

- Otwarte! - zawołał Charlie. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Powiedzieć, że był zdumiony na jej widok, byłoby wielkim niedomówieniem. Leżał na łóżku, nadal miał na sobie brudne, podarte dżinsy i koszulę.

- No, no, do diabła! - wykrzyknął i gwałtownie się poderwał.

- Ciebie też miło mi zobaczyć - powiedziała szorstko. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Jedno spojrzenie na Charliego, i już wiedziała, że postąpiła słusznie.

- Nawet się nie umyłeś - napadła na niego.

- Słucham?

- Spójrz na siebie. Wyglądasz jak ostatni łajza. Nie ma tu bieżącej wody czy co? Oczywiście, że jest. Więc dlaczego jej nie użyłeś? W ogóle nie powinieneś chodzić. Siadaj na łóżku i ściągnij ubranie.

Mówiąc, nie patrzyła na niego. Pogrzebała chwilę w torbie, wyciągnęła z niej plastikową butelkę z roztworem soli fizjologicznej, plaster i gazę, pragnąc, by te zawodowe czynności odciągnęły jego uwagę od wymownego rumieńca na jej twarzy.

- Mam ściągnąć... - zaczął Charlie.

- Tak. Zdejmij koszulę i dżinsy. Zaraz wracam - dodała i pospieszyła do drzwi.

Po spotkaniu przy sadzawce wracała do domu upokorzona, Ale im dłużej siedziała w domu, tym mniej myślała o swoim upokorzeniu, a więcej o Charliem. Był już gotowy, by się przed nią rozebrać do naga, a potem nagle zmienił zdanie. Dlaczego? Najwyraźniej dlatego, że nie chciał

jej pokazywać świeżych blizn i najnowszych obrażeń. Głupiec!

Dobrze mu tak! - myślała mściwie. Tyle że ona jest pielęgniarką.

Gryzła się przez całą kolację. Po kolacji powiedziała ojcu, że wróci późno, bo musi jeszcze pojechać na pastwisko. Napchała lodu do turystycznej lodówki, przygotowała środki opatrunkowe, a także słabe pigułki przeciwbólowe, i wrzuciła wszystko do dużej torby.

- Któryś koń zachorował? - spytał ojciec.

- Jeden z mułów - mruknęła Cait, co zresztą było dość zbliżone do prawdy.

Teraz wyjęła lodówkę z pikapa, zatrzasnęła drzwiczki i zatargała ją na wzgórze, do chaty. Charlie dokuśtykał do drzwi w chwili, gdy wchodziła na schodki.

- Cait, na litość boską! - Utykając podszedł, by jej pomóc.

- Wszystko w porządku. Zejdź mi z drogi. - Minęła go i z ulgą postawiła lodówkę na podłodze. - No, już. - Wyjęła woreczek z lodem i bandażem, potem wyprostowała się i spojrzała niecierpliwie na Charliego. - Charlie, dzinsy - przypomniała mu.

- Cait - jęknął. Uniosła brwi.

- A może to ty się boisz?

Ich spojrzenia się spotkały. Wydawało się, że przebiegła między nimi błyskawica. Cait pomyślała, że chyba popełnia poważny błąd. Charlie zazgrzytał zębami i mruczając coś niewyraźnie pod nosem, zaczął rozpinać pasek.

Cait stała, ściskając z całej siły worek z lodem. Usiłowała zachować obojętną minę, zbierając jednocześnie wszystkie siły, by nie okazać, jakie wrażenie wywiera na niej widok nagiego Charliego.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wszystko miało być inaczej. On miał ją uwodzić, a potem oboje razem mieli się rozbierać. A zamiast tego on zdejmował ubranie, podczas gdy Cait krzątała się wokół niego jak jakaś sprawna pielęgniarka, przygotowując sobie bandaże i plastry, przytupując z niecierpliwości, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła pobiec na randkę ze swoim kardiologiem.

No, w końcu jest pielęgniarką. Ale on nie jest, nie może być jej obojętny. Na miłość boską, przecież kiedyś go kochała! Dotykała go w taki sposób, że serce galopowało mu w piersi, a ciało śpiewało triumfalną pieśń. A teraz zachowywała się tak, jakby był podłogą, którą ona musi starannie oskrobać z brudu. Zobaczymy, jak długo potrwa ta jej obojętność.

- Przyłóż to do nogi - powiedziała, podając mu lód. - A ja oczyszczę skaleczenia.

- Nie chciałabyś mi sama tego przyłożyć? - mruknął czułe. Czasami się z nią przekomarzał tylko po to, by zobaczyć, jak się rumieni. Ale tym razem to nie zadziało.

- Myślę, że sam sobie poradzisz - powiedziała po prostu i spojrzała na zegarek, nie na niego. - Umówiłam się ze Steve'em na późny seans filmowy, więc gdybyśmy mogli się pospieszyć...

Znowu Steve. Cholerny Steve.

- Opowiedz mi o nim - poprosił Charlie. Nie dlatego, że tamten mężczyzna go obchodził, lecz dlatego, że zawsze warto poznać swojego rywala.

Cait wydawała się zdziwiona. Chwilę się zawahała, zanim zaczęła mówić.

- Jest wysoki, ciemnowłosy, przystojny. Zrobił dyplom na uniwersytecie Columbia. Jak ci już mówiłam, jest kardiologiem. Przez ostatnie cztery lata pracował w Bozeman,



dojeżdżał też regularnie do Livingston. Ale chce uczyć, a ponieważ zaproszono go do większego szpitala w Denver, wyjeżdża stąd w sierpniu. - Uniosła brodę. - A ja pojedę do niego na jesieni. Po ślubie.

- Kiedy się pobieracie? - spytał Charlie, patrząc na nią zwężonymi oczami.

- Siedemnastego października. Po wysłaniu bydła. Masz zamiar zdjąć te dzinsy czy nie? - warknęła. Przerzucała woreczek z lodem z ręki do ręki. Wyglądała tak, jakby jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

I tak wszystkie plany „rywalizacji” wyleciały Charliemu z głowy. Wściekły, jak ukłuty ościeniem - a jednocześnie przerażony, że Cait tylko spojrzy na jego nogę i ucieknie - ściągnął spodnie, odkopał je na bok i stanął, patrząc na nią z furją, aż wreszcie ona też na niego spojrzała.

- Śliczne, co? - Głos miał ochrypy, brzmiało w nim wyzwanie. Szukał na jej twarzy oznak obrzydzenia.

- Och, Charlie. - Te słowa wyrwały jej się bezwiednie. Nie miał się co łudzić. I chociaż nie życzył sobie litości z jej strony, był dziwnie zadowolony, że chyba się zmartwiła.

Nie tylko nie uciekła, lecz podeszła o krok bliżej.

- W którym miejscu cię boli? - spytała i dotknęła go. Miała bardzo zimne ręce.

- Kobieto! Zamroziś mnie!

Ale ona nie przejęła się jego okrzykiem.

- Cicho - powiedziała, łagodnie głaszcząc go po łydce. - Usiądź na stole.

Przełknął ślinę, pragnąc, by jego ciało zachowało się przyzwoicie. Potem zrobił, o co prosiła.

Cait zabrała się do badania. Teraz, gdy początkowy szok minął, zabrakło mu tchu, tylko częściowo z zimna. Zapomniał już, jak ona cudownie pachnie. Gdy pochyliła się nad jego

nogą, jędrną piersią musnęła mu ramię. A jej ręce - chociaż takie lodowate - doprowadzały go do szaleństwa.

- Tu? - spytała, dotykając naprężonego mięśnia. - Czuję tu napięcie.

- Och - jęknął Charlie.

- Przepraszam. Jeszcze gdzieś? - Trzymała rękę na jego łydce, lekko ją ugniatając, a potem przesunęła rękę wyżej i delikatnie zbadała.

- Ach... uhm... tak, tu. - Zacisnął ręce na brzegu stołu, zamknął oczy i odrzucił głowę do tyłu.

Owiewał go jej zapach. Jałowiec, szałwia i coś nieokreślonego, jakiś właściwy tylko jej aromat, który zawsze ją otaczał i nawet w zrujnowanym Abuku przywodził na myśl Montanę, a teraz wzbudzał wspomnienie tych wszystkich nocy, kiedy trzymał ją w ramionach. Wtedy od niej uciekł. Boże, jakim on był głupcem! Ale teraz miał cholerną pewność, że nie pogodzi się z zaistniałą sytuacją. Jego serce o tym wiedziało. Jego umysł o tym wiedział. A jego ciało wiedziało o tym najlepiej.

Cait też musi o tym wiedzieć. Niewiele męskich sekretów pozostaje w ukryciu, gdy mężczyzna jest w krótkich spodenkach.

- Będziemy potrzebować dwóch torebek z lodem. - Podniosła mu nogę, włożyła woreczek pod spód i poszła przygotować drugi.

- Och. - Charlie poczuł chłód, nie tylko od lodu. Zaraz wróciła i, oczywiście, dała mu ten lód.

- Trzymaj - poleciała. Potem uniosła jego brodę dwoma palcami i obróciła mu głowę tak, by lepiej widzieć pokaleczone usta. - Przynajmniej to mogłeś umyć.

- Napiłem się whiskey - powiedział. - To dobra dezynfekcja.

- Nie ruszaj się - mruknęła ze złością i z powrotem zabrała się do roboty.

Przemyśla wszystkie zadrapania solą fizjologiczną. Pracowała szybko, zręcznie, nie siłąc się specjalnie na delikatność.

- Hej! - zaprotestował, bo miał takie wrażenie, jakby używała żrącej pasty, by wyczyścić najbrudniejsze miejsca.

- Zachowujesz się jak dziecko. - Potarła jeszcze mocniej.  
- I przestań jęczeć.

- Nie mogę.

- Przecież aż tak cię nie szczypie.

- Moje jęki nie mają nic wspólnego z dezynfekcją skaleczeń - wyjaśnił i uzyskał wreszcie swoją nagrodę. Na policzki Cait wypełził rumieniec. Ale zaraz znów krzyknął, bo zaczęła trzeć jeszcze mocniej.

- Gotowe. - Skinęła głową z zadowoleniem, gdy wyskrobała mu brud niemal do kości.

Ostrożnie dotknął jej łokcia.

- Teraz boli bardziej niż przed przemyciem.

- Ale przynajmniej nie dostaniesz zakażenia. - Już zbierała swoje rzeczy, ładowała je do torby. Potem poszła umyć ręce.

Widząc, jak sztywno się porusza, Charlie był pewny, że nie jest tak obojętna, jak udaje.

- Dziękuję, Cait - powiedział miękko.

Trzymała ręce pod strumieniem wody i nie odwróciła się, ale zobaczył, że jej ramiona jeszcze bardziej sztywnieją.

- Nie ma za co.

Chciałby mieć śmiałość, by do niej podejść, położyć ręce na jej ramionach i łagodnie je pomasować. Robił to, gdy wracała z pracy. A wtedy ona odchyłała głowę i, mrużąc ze szczęścia, obrzucała jego podbródek drobnymi pocałunkami, doprowadzając jego hormony do szaleństwa. Teraz jednak nie

pozostało mu nic innego, jak tylko dalej siedzieć na stole. Zdołał się do tego zmusić wielkim wysiłkiem woli.

Cait skończyła myć ręce.

- Rób sobie takie okłady co godzinę i trzymaj je dwadzieścia minut. Przyniosłam tyle lodu, że wystarczy do jutra do południa.

- Dobrze.

- Czy lekarze zalecili ci ćwiczenia rozciągające?

- Tak.

- I robisz je?

- Staram się.

- Więc się do tego przyłóż.

- Dobrze.

Spojrzała na niego z ukosa, podejrzliwie. Charlie uśmiechnął się. Odwróciła wzrok i wytarła ręce o dzinsy.

- Doskonale - powiedziała różnym głosem. - Muszę już iść.

Jego uśmiech zniknął.

- Usiądziecie w tylnych rzędach i będziesz się z nim pieścić?

- Charlie!

Na widok jej zaszokowanej miny wyszczerzył radośnie zęby.

- Przepraszam. Przecież ty nigdy byś sobie na coś takiego nie pozwoliła.

Poszli kiedyś na jakiś dokumentalny, polityczny film do obskurnego kina w Abuku tylko po to, by móc się całować w ciemnościach, bo akurat dwóch kumpli Charliego zważyło im się na kilka dni do domu.

Widok czerwonej twarzy Cait powiedział mu, że ona to pamięta. Przechylił głowę i jeszcze raz się do niej wyszczerzył.

- Do widzenia, Charlie - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Cześć. - Zaczekał, aż dojdzie do drzwi. - Cait? - Odwróciła się. - Myśl o mnie.

- Coś cię dręczy - powiedziała Mary, patrząc na Cait. - Chodzi o twojego tatę?

Mary była żoną zarządcy, Gusa Holta, którego Cait zatrudniła tej zimy.

- Tato czuje się dobrze - odparła Cait, wpisując notatki do karty.

- Więc coś ze Steve'em?

- A co ma być ze Steve'em? - Cait szybko podniosła na nią wzrok. Odłożyła długopis i wpakowała ręce do kieszeni. - Wszystko jest w porządku - powiedziała obronnym tonem.

- Albo przynajmniej było, gdy ostatnio się widzieliście. - W głosie Mary słychać było wyrzut.

- Jest zapracowany! I ja też mam mnóstwo pracy!

- Dwoje najbardziej zapracowanych ludzi na świecie - stwierdziła Mary sucho. Wstała i poprawiła ubranie, a potem położyła Cait rękę na ramieniu. - Musicie znaleźć dla siebie czas. Potrzebujecie tego. Oboje za ciężko pracujecie.

- Nie ma na to rady. Muszę prowadzić ranczo, no i mam swoją praktykę położniczą, i...

- ...I dopóki jesteś taka zajęta, nie musisz myśleć o ślubie.

- O co ci chodzi?

- Słyszałaś. Może tylko to sobie wyobrażam, ale wygląda mi na to, że uciekasz od decyzji.

- Uciekam? Na pewno nie!

- No, ale też niezbyt ci się spieszy do ołtarza.

- Bo nie jesteśmy roznamiętnionymi nastolatkami... Mary skrzywiła się.

- Pojęłam aluzję.

- Nie to chciałam powiedzieć... - dodała szybko Cait. Mary i Gus już jako nastolatki zakochali się w sobie.

A przynajmniej Mary była zakochana. Ale Gus się wystraszył. Potrzebował dziesięciu lat, by wrócić do Mary.

- Steve i ja jesteśmy dorośli - powiedziała Cait spokojnie. - I zaczekamy, aż nadejdzie odpowiednia chwila. Zresztą do października nie jest tak daleko.

- Październik? - Mary rozjaśniła się. - Więc ustaliliście termin?

- Tak, chyba tak. - Gdy Charlie ją o to pytał wczoraj, Cait wzięła datę z sufitu.

A wymieniła pierwszą lepszą, bo gdyby się przyznała, że jeszcze tego nie ustaliła, Charlie tak samo jak Mary mógłby pomyśleć, że nie jest pewna swojej decyzji. Nie chciała mu sprawiać takiej satysfakcji. Poza tym, im więcej o tym myślała, tym bardziej dzień siedemnasty października wydawał jej się tak samo dobry jak każdy inny.

Było to - jak mu powiedziała - po wysłaniu bydła, a jeszcze przed śniegami. Steve będzie miał czas, by się zadomowić w Denver i oswoić z nową pracą, a ona będzie miała czas na zlikwidowanie swojej praktyki i upewnienie się, że tato jest w stanie sam prowadzić ranczo.

- Kiedy i gdzie? Będę mogła w czymś pomóc? - Mary aż drżała z gotowości do pomocy.

- Siedemnastego października - oświadczyła stanowczo Cait. - Ale jeszcze nie postanowiliśmy, gdzie.

Steve będzie zachwycony, gdy spotkają się dziś wieczorem i powie mu o swojej decyzji. Palił się do wyznaczenia terminu od chwili, gdy dał jej pierścionek.

- No, cieszę się, że wreszcie ustaliłaś termin - powiedziała Mary. - We wszystkim ci pomogę.

- Sama będziesz miała dosyć roboty z przygotowaniem do narodzin dziecka i uczęszczaniem do szkoły rodzenia.

- Ale na pewno zostanie mi trochę wolnego czasu. W tym roku nie organizuję widowiska jasełkowego. Już mówiłam o tym Polly. Wydawało mi się, że odczuła prawdziwą ulgę - dodała Mary z uśmiechem.

W zeszłym roku Mary była główną organizatorką miejskich obchodów Bożego Narodzenia w Elmer. I tak się zdarzyło, że w samym środku uroczystości zaczęła rodzić.

- Nie dziwię się - roześmiała się Cait. - Kogo tym razem złapała w swoją sieć?

Znalezienie jakiegoś naiwniaka... to znaczy, ochotnika, zawsze było prawdziwą sztuką. Polly McMaster, kierowniczka poczty i zarazem odznaczająca się świętą cierpliwością burmistrz Elmer, przeważnie musiała ludzi do tego zmuszać. W zeszłym roku dorwała Mary, nowy nabytek w społeczności. Mary zgodziła się i doskonale sobie poradziła. Zyskała również stałe miejsce w historii Elmer tym, że niemal urodziła na scenie.

- Jeszcze nie wiem, kogo Polly dopadnie w tym roku - powiedziała Mary. - Ale sama możesz odetchnąć z ulgą, bo to na pewno nie będziesz ty.

Potrwało chwilę, zanim Cait zrozumiała, o czym Mary mówi: że to nie ją Polly sobie upatrzy, bo jej już tu nie będzie. Poczowała się dziwnie pozbawiona tego, co jej się należało. Nie było jej tu podczas bardzo wielu uroczystości bożonarodzeniowych, ale jako dziecko uwielbiała je. Opowiadała o nich Resi. I Charliemu.

Nagle Mary się nachmurzyła.

- Właśnie sobie uświadomiłam, że nie będzie cię tutaj, żeby odebrać moje dziecko.

Cait posłała jej skruszony uśmiech.

- Wiem. I chciałabym tu być wtedy z tobą. Może...

- W żadnym wypadku. Nie możesz odkładać ślubu - powiedziała Mary ostro. - Ty i Steve i tak jesteście skłonni

uzależniać datę ślubu od potrzeb medycznych wszystkich mieszkańców tego stanu.

- Przysięga Hipokratesa - uśmiechnęła się Cait.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale data jest ustalona i nie będziesz tego dla mnie zmieniała. I spodziewam się, że mi powiesz, w czym mam ci pomóc. Gus i ja będziemy szczęśliwi, mogąc się przydać. Mamy wobec ciebie wielki dług wdzięczności.

- Dziękuję.

Ale Cait nie mogła sobie wyobrazić, by nawet biorąc pod uwagę ten dług, Gus zgodził się przepędzić Charliego z miasta, grożąc mu dubeltówką.

Charlie zawahał się przed wejściem na schodki prowadzące na szeroką werandę, która biegła wzdłuż południowo - wschodniej ściany domu Blansingame'ów. Obiecywał sobie, że nie będzie wywierał presji na Cait, a teraz, ledwo dzień później, stoi na jej progu. Ale przyszedł oddać lodówkę. Zwrot lodówki chyba nie jest wywieraniem presji, prawda? To zwykły obowiązek.

Poza tym chciał jej opowiedzieć o niedźwiedziach. Dziś znów je zobaczył, jak zajadały się jagodami, i zrobił kilka zdjęć. Już nie mógł się doczekać, kiedy jej o tym opowie. Tym razem odszedł wcześniej niż niedźwiedzie. Był ostrożniejszy i patrzył pod nogi. Noga go bolała, ale już nie tak. Czuł się troszkę lepiej.

Postawił lodówkę na progu, zapukał i zajrzał przez zasłoniętą firanką szybę, szukając śladów życia. Właśnie była pora kolacji, więc uważał, że to najlepszy czas, by zastać Cait w domu. Ale na pukanie nikt nie odpowiedział.

Zaczął nerwowo krążyć po ganku. Rzucił wściekle spojrzenie na zamknięte drzwi, a potem kopnął schodek. Gdy nadal nikt nie otwierał, westchnął i zaczął schodzić na dół.



Doszedł już do podnóża schodków, gdy usłyszał, że drzwi się otwierają.

Odwrócił się z radosnym uśmiechem, ale uśmiech zamarł, gdy zobaczył starszego mężczyznę.

- Słucham? - W dzinsach i spłowiej koszuli w kratkę mężczyzna wyglądał jak typowy kowboj. Jego krótko ostrzyżone, kiedyś ciemne włosy, teraz były szpakowate. Twarz miał ogorzałą, przez co sprawiał wrażenie starszego niż był w rzeczywistości. Gdyby nie kapcie, które miał na nogach, wyglądałby jak kowboj z reklamy papierosów. Wydawał się zmęczony. Patrzył na gościa obojętnie. Miał niebieskie oczy, ale o kształcie takim samym jak oczy Cait.

Charliemu w ogóle nie przyszło do głowy, że w domu będzie jej ojciec. Oczywiście wiedział, że mieszkają razem, ale myślał tylko o Cait. Teraz szybko starał się sobie przypomnieć, co Cait o nim mówiła. Czy wspomniała jego imię? I w jakim kontekście? Ach, tak. Miał atak serca. Trzeba postępować ostrożnie.

- Cześć - powiedział. - Jestem... eee... przyjacielem Cait. Zatrzymałem się w chacie McCallów. Przyszedłem oddać Cait jej lodówkę.

Mężczyzna przyjrzał się Charliemu, potem lodówce.

- Pracujesz u Otisa i Jeda?

Otis, jak Charlie wiedział, był ojcem Brenny.

- Nie... niezupełnie. Jestem fotografem. Po prostu mieszkam w ich chacie.

Ojciec Cait zmarszczył czoło.

- Jesteś artystą?

- Coś w tym rodzaju. Robię... robiłem - poprawił się - mocne rzeczy. Wojny i przemoc w mieście... - tłumaczył niezręcznie.

Twarz starszego mężczyzny rozjaśniła się.

- Jesteś Charlie Tropiący Łosie?

Zaskoczony tą nagłą radością i zainteresowaniem, Charlie mógł tylko skinąć głową.

Ojciec Cait, najwyraźniej ucieszony, schodził po schodkach z wyciągniętą ręką.

- Cait mówiła, że cię zna - powiedział, po raz pierwszy wykazując ożywienie. - Ale nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółmi! - Chwycił Charliego za rękę i zaczął nią potrząsać. - Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. Wchodź.

Ponieważ wchodząc z powrotem po schodkach, nie puścił jego ręki, Charlie nie miał wyboru.

- Jestem Walt Blasingame, ojciec Cait. - Wpuścił Charliego do kuchni, jeszcze raz uścisnął mu rękę, prawie ją zgniatając, i wskazał krzesło przy okrągłym dębowym stole pod oknem.

- Miło mi pana poznać, panie Blansingame.

- Walt - poprawił go gospodarz. - Mów do mnie Walt.

- Walt. - Charlie odsunął sobie krzesło. - Mówisz, że Cait... wspominała o mnie?

- Kupiła twój album. „Zagubione człowieczeństwo”. Stąd o tobie wiem. Napijesz się kawy? A może zostaniesz na kolacji? Oczywiście, że tak. Cait mi nie daruje, jeżeli cię nie zaproszę.

Kręcił się po kuchni, nalał wody do czajnika, wsypał kawę do maszynki, i cały czas mówił, trochę do siebie, trochę do Charliego.

- Kupiła mój album?

- Jasne. Wspaniała rzecz. - Walt zaakcentował swoje słowa, waląc dzbankiem w stół. - Zmuszasz ludzi do myślenia.

- Ehm... dziękuję. - Charlie aż zamrugał, widząc ten niespodziewany entuzjazm ojca Cait. Czyżby to ona tak na niego wpłynęła? Charlie jakoś nie mógł w to uwierzyć.

- Siadaj, siadaj - ponaglił go Walt.

Charlie usiadł. Rozejrzał się po kuchni. Czuł się dziwnie, tak, jakby już tu kiedyś był. Ale zaraz sobie przypomniał, jak często Cait opowiadała o rodzinnych posiłkach spożywanych właśnie przy tym stole. Charlie uśmiechnął się na to wspomnienie. Zresztą cała kuchnia pobudzała go do uśmiechu. Była ciepła, przytulna. Domowa. Wygodna. Wzbudzała podobne uczucia jak kuchnia Chase'a i Joanny.

Walt zdjął z półki puszkę i wyłożył z niej na talerz garść domowych kruchych ciasteczek, a potem postawił go przed gościem.

- Proszę, poczęstuj się. Skąd przyjechałeś? I dlaczego mieszkasz w chacie McCallów? W Montanie nie ma wojny. A przynajmniej nie w tej chwili. - Zachichotał i wpatrzył się w Charliego chciwym spojrzeniem. - No więc, co cię tu przyniosło?

„Przyjechałem, by ożenić się z twoją córką”. Nie, to chyba nie będzie dobry początek. Charlie powstrzymał się od wypowiedzenia tych słów, zamiast tego ugryzł ciastko. Było pyszne.

- Przyjechałem z Kalifornii - powiedział. - Taki mały urlop. .. Nigdy nie byłem w Montanie, a pamiętam, jak Cait opowiadała. ..

Walt rozpromienił się.

- To ostatnie dobre miejsce na ziemi - tak je nazywają. Podoba ci się tu?

- Tak - przyznał Charlie i sam się zdziwił, jak prawdziwe jest to stwierdzenie. - Tak, podoba mi się.

- Dobre ciastka, co? - Walt nalał mocną, czarną kawę do kubków i postawił je na stole. - Cait je upiekła. Jak się poznaliście?

- Robiłem zdjęcia koło szpitala, w którym pracowała.

- Tym w Abuku? - Walt pokiwał głową i skrzywił się. - Nie opowiadała wiele, ale domyślałam się, że było bardzo źle. - Usiadł naprzeciwko Charliego.

- Tak, bywały paskudne chwile - przyznał Charlie.

- Byłem w Wietnamie. Wiem, że o niektórych rzeczach nie chce się rozmawiać, ale... chciałbym coś zrozumieć. Ona czasami staje się taka cicha. I nie wiem wtedy, jak jej pomóc. Powiesz mi?

- Ehm. - Charlie przełknął ślinę. Co właściwie ma mu powiedzieć?

Walt nagle wstał, odpychając krzesło.

- Przyniosę album.

Wrócił po chwili z egzemplarzem „Zagubionego człowieczeństwa”.

- Cait powiedziała, że kupiła to z powodu tej dziewczynki - oznajmił. - Ale nie chce go oglądać. A przynajmniej nie przy mnie.

Ciekawe dlaczego, pomyślał Charlie z ironią skierowaną pod swoim adresem.

- Mówi, że znała tę dziewczynkę. - Walt postukał w okładkę, na której było zdjęcie Resi.

- Tak. - Po raz pierwszy od wielu miesięcy Charlie zmusił się do spojrzenia na portret Resi. Gdyby w ogóle mógł się czuć jeszcze bardziej winny, niż czuł się z powodu Cait, to poczucie dotyczyłoby Resi. Zdradził jej miłość, jej zaufanie, tylko po to, by chronić własne uczucia.

- Szczęśliwa dziewczuszka - powiedział Walt.

- Jak to: szczęśliwa?

- No, z początku nie była szczęśliwa - przyznał Walt. - Straciła rodziców. Została ranna. Ale potem... - Na jego twarzy pojawił się smutny, rzewny uśmiech.

- Co się stało potem?

Walt spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Nie wiesz? Ma teraz nowy dom! Nową rodzinę. Ktoś ją adoptował. Jeden z przyjaciół Cait.

- Jeden z... Kto?! - wykrzyknął Charlie. Walt wzruszył ramionami.

- Nie znam nazwiska. Cait mówiła, ale nie pamiętam. Powiedziała, że tej małej się udało.

- Tak. - Charlie poczuł się pusty, ale jednocześnie rozgrzeszony. Jakby darowano mu winę, chociaż on sam wiedział, że niczym jej nie zmyje. Czy Cait jest zadowolona? Kochała to dziecko, chciała je mieć. Chciała ich oboje: i jego, i Resi.

- Cait ci powie, kto to jest - oznajmił Walt. - No, podgrzeję kolację. Cait zrobiła gulasz. Chociaż ja na ogół nie mam apetytu. Ale skoro ty tu jesteś...

- Czy Cait ma dziś zajęcia? Albo odbiera poród?

- Chyba nie. - Walt wyjął talerze, położył na stole pół bochenka chleba. - Wyszła ze swoim doktorem.

- Ten doktor... to jej narzeczony?

- Tak. Steve. Porządny gość. Strasznie zapracowany. Mój Boże, w szpitalu podczas obchodu ledwo miał czas się zatrzymać i przywitać. Ale to dobry lekarz. I przypuszczam, że musi tyle pracować, skoro tylu chorych na nim polega.

- Tak, chyba tak - zgodził się Charlie niechętnie. O wiele bardziej by wolał, żeby zdaniem Walta Steve był łajdakiem.

- Rzadko mają dla siebie czas. Oboje są tacy zajęci, opiekując się innymi. - Spojrzał na Charliego, stawiając przed nim talerz. - Do ciebie też poszła wczoraj wieczorem, żeby zrobić ci opatrunki, prawda?

Charlie poczuł na twarzy rumieniec.

- Kilka miesięcy temu zostałem ciężko postrzelony, a wczoraj upadłem. Zaraz potem widziałem się z Cait, a następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że przyniosła mi lód.

Walt uśmiechnął się.

- To cała Caity. Wes, mój syn, zawsze nazywał ją Damą z Bandażem. Gdy byli dziećmi, ciągle go opatrywała. Caity opatruje każdego, na kogo tylko trafi.

Charlie tego też nie chciał słuchać. Wolał myśleć, że zrobiła to specjalnie dla niego.

- Jedz - powiedział Walt. - A potem może mógłbyś mi coś opowiedzieć o tych zdjęciach.

Zjedli w przyjacielskim milczeniu. Gulasz przygotowany przez Cait był pyszny. Gdy skończyli, razem posprząтали, a potem Walt zaprowadził Charliego do wyłożonej sosnową boazerią bawialni, żeby rozmawiać o zdjęciach.

Charlie znów poczuł się tak, jakby już tu kiedyś był. O tym pokoju Cait też mu opowiadała. Wspominała, jak kładła się na pleconym dywaniku i oglądała filmy rysunkowe, o budowaniu domków z klocków przy kominku, o półkach z książkami zrobionymi przez jej dziadka.

- Moje książki leżały na najniższej półce - opowiadała. - W zimowe dni siadywałam w fotelu przy rozpalonym kominku i czytałam.

Walt usiadł na kanapie, Charlie koło niego. Nie miał zwyczaju komentować wobec ludzi swoich zdjęć, ale to było co innego. Walt otworzył album na fotografii przedstawiającej zniszczenia spowodowane przez wybuch granatu.

- Widziałem takie zrujnowane domy jak ten - powiedział. Na twarzy malował mu się dziwny wyraz, patrzył w przestrzeń.

Oglądali zdjęcia. Rozmawiali. Nie tyle słowami, co milczeniem.

- W Wietnamie też były dzieci - powiedział Walt w pewnej chwili. - Cierpiały tak samo jak ta dziewczynka, którą znałeś. Ja wtedy też wiedziałem niewiele więcej niż dziecko - mówił Walt spokojnie. Popatrzył nie widzącym wzrokiem w

mrok. - Człowiek nigdy nie wie, czy nie popełnia jakiegoś głupstwa.

Tak, pomyślał Charlie. On sam z całą pewnością je popełnił. Potem zaczął opowiadać.

- Gdy zobaczyłem Resi pierwszy raz - powiedział, zmagając się z nagłym bólem - wcale nie chciała mówić. Tylko patrzyła. A Cait przyprowadziła mnie do niej, bo myślała, że mógłbym coś zrobić. Sądziła, że będę mógł jej pomóc, a nawet jeżeli nie, to będę mógł opowiedzieć o niej światu.

Gdy opowiadał, wszystko wróciło: smutek, ból. A mimo to, pośród tego bólu, w pojedynczych, wyizolowanych chwilach, była też radość. Nie tylko radość z poznania Cait. Przy Resi też odczuwał radość.

Resi długo nie mówiła. Ale widział postępy. Kontakt wzrokowy. Pierwszy nieśmiały uśmiech. Próbné dotknięcie. I w końcu poranek, kiedy znalazł małego pluszowego misia i przyniósł go jej, a ona wypowiedziała pierwsze słowo, przełamując milczenie, w którym tkwiła od Bóg wie jakiego czasu.

Ciągle jeszcze czuł te ufne paluszki zaciskające się na jego ręce. Pamiętał światło w jej oczach, gdy wszedł do pokoju. Ale to światło zgasło pewnego wczesnego ranka, gdy przyszedł jej powiedzieć, że musi wyjechać.

Charlie zamilkł i wpatrzył się w przestrzeń. Myślał o wszystkich tych rzeczach, które zrobił źle. O rozpaczliwie wymyślanych wymówkach, o tym, jak sobie wmawiał, że postępuje w najlepiej pojętym interesie ich wszystkich. Cóż z niego był za kłamca!

Nie zauważył, że po policzkach spływają mu łzy. Nie poczuł tiku w skroni. Nie słyszał wypowiedzianych cicho słów Walta. Ani nie zastanowił się, co znaczą, gdy starszy mężczyzna powiedział:

- Rozumiem. Dobrze to rozumiem.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Steve był zachwycony, gdy mu powiedziała.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Nareszcie!

- Zgadzasz się? - Cait nerwowo skręcała w rękach serwetkę. Siedzieli w restauracji. - To znaczy, na datę?

- Jasne. - Uśmiechnął się. - Wyłączę pager na cały dzień. Och, żartuję. - Zajrzał do swojego elektronicznego notesu i coś sobie w myślach obliczył. - Doskonały termin. Powiem im, że przez tydzień mnie nie będzie. W ten sposób będziemy mogli pojechać na krótki miesiąc miodowy i wrócę na czas, by zdążyć dwudziestego szóstego na konferencję w Johannesburgu. Sam nie zaplanowałbym tego lepiej. Co cię natchnęło, żeby podjąć decyzję?

Z jakiegoś powodu mówienie mu o Charliem nie wydawało się najlepszym pomysłem.

- Chyba nadeszła odpowiednia pora - odpowiedziała. - To znaczy, jeżeli zamierzamy się pobrać, to po prostu to zrobimy. Mam rację? - Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Całkowitą. - Steve wyciągnął rękę przez stół i uściskał jej dłoń. - Tak się cieszę. Może pojedziesz ze mną w ten weekend do Denver, żebyśmy poszukali mieszkania?

Cait zamrugała.

- Co takiego?

- Jedź ze mną. Na weekend. Skoro na jesieni mamy się pobrać, mój dom będzie też twoim domem. Nie ma sensu, żebym coś wynajmował na dwa miesiące, a potem żebyśmy się przeprowadzali. Lepiej od razu coś znaleźć.

Cait nie myślała aż tak perspektywicznie. Wcale też nie była pewna, czy może zostawić ojca na dwa dni.

- Zobaczymy - powiedziała.

- Cait, no, zdecyduj się. Zaczynaj planować już teraz - namawiał ją Steve. - Pewnie udałoby się od razu coś znaleźć.

- Muszę porozmawiać z tatą. Może zechce pojechać z nami?

Steve nie wydawał się zachwycony tym pomysłem, mimo to skinął głową. Ale Cait była bardzo zadowolona, że jej ojciec będzie z nimi. Potrzebował czegoś, co by go podniosło na duchu. Ostatnio zbyt często zdarzało jej się wracać wieczorem do domu i zastać go w fotelu, patrzącego gdzieś w dal, albo, co było jeszcze gorsze, przeglądającego album Charliego, podczas gdy kolacja nadal tkwiła w podgrzewaczu.

- Nie jestem głodny - twierdził, gdy gderała. - Nie chce mi się jeść.

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy zabrali ze sobą tatę - powiedziała teraz radośnie i spojrzała na zegarek. - Muszę już iść. Wczorajszego wieczoru też nie spędziłam w domu. I jutro też wrócę późno, bo to dzień szkoły rodzenia. A powinnam częściej jadać z nim kolację.

- Cait, on musi nauczyć się sam sobie dawać radę. A nie zrobi nic sam, skoro wie, że go wyręczysz.

- Tu nie chodzi o to, że go wyręczam - sprzeciwiła się Cait, chociaż to właśnie robiła. - Chodzi o dotrzymanie mu towarzystwa. Jest w domu zupełnie sam.

- Więc powinien zapraszać ludzi. Wychodzić. Spotykać się z przyjaciółmi.

- Tak. - Cait w pełni się z tym zgadzała. Ale to, co ona uważała za słuszne, a przekonanie do tego ojca, to były dwie zupełnie różne rzeczy.

Bardzo się więc zdziwiła, gdy dojeżdżając do domu, zobaczyła na podwórzu, koło stodoły, samochód Otisa Jamisona.

Otworzyła tylne drzwi i weszła do kuchni. To, co tam zobaczyła, wywołało na jej twarzy szeroki uśmiech. Najwyraźniej zjadł. I miał towarzystwo przy kolacji. Podgrzewacz był umyty, a na suszarce ustawione były dwa

talerze i sztuce po dwóch osobach. Z bawialni dochodziły odgłosy rozmowy. Otworzyła szeroko drzwi i weszła.

- Cześć! Jeszcze nie śpisz! Tak się cieszę, Otis... Na widok Charliego zamarła.

Ojciec odłożył książkę na stolik i spojrzał na nią z rozjaśnioną twarzą.

- Ach, Caity, spójrz, kto przyszedł!

Charlie, który wiedział, że nie jest to odpowiednia chwila na okazywanie radości, zmusił się do uśmiechu i wstał.

- Co ty tu robisz? - spytała ostro.

Słyszając taki ton, jej ojciec aż otworzył szerzej oczy.

- Caity! Co to za maniery?

Cait przełknęła odpowiedź, która cisnęła jej się na usta.

- Po prostu... zdziwiłam się, widząc go tutaj. - Wpatrywała się oskarżającym wzrokiem w Charliego, który wyglądał jak uosobienie niewinności.

- Przyszedłem, żeby ci oddać lodówkę.

- Niepotrzebnie się fatygowaleś.

- Ale przede wszystkim chciałem podziękować. A poza tym - uśmiechnął się nieśmiało - miałem nadzieję na jeszcze trochę lodu.

- Odpoczynek bardziej by się przydał twojej nodze niż nowa porcja lodu.

- Nie mogę leżeć. Muszę mieć oko na te niedźwiedzie. A dziś miałem bardzo dobry dzień. Zrobiłem kilka zdjęć, gdy jadły jagody. - Uśmiechnął się szeroko. - No i odniosłem ci lodówkę.

Wszystko to brzmiało bardzo szczerze. Ale Cait ani przez sekundę nie wierzyła, że Charlie przyszedł tu bez ukrytych motywów. W oczach miał wyraz, który rozpoznała aż za dobrze. Był na tropie wspaniałych ujęć. Ale teraz, gdy ojciec obserwował ich z takim zainteresowaniem, nie mogła się z nim kłócić.

- No, dobrze. Dziękuję - mruknęła.

- Zaprosiłem go na kolację - powiedział ojciec entuzjastycznie. Cait zauważyła, że wygląda o wiele zdrowiej niż w ostatnich miesiącach. - Żałowałem, że cię nie zastał. Ale poprosiłem, by został. Pomyślałem, że chciałabyś się z nim zobaczyć. A po kolacji usiedliśmy sobie i rozmawialiśmy.

To zabrzmiało dość złowieszczo. Co Charlie mógł powiedzieć jej ojcu? I co ojciec powiedział Charliemu?

- Świetnie - powiedziała rażno. - Dziękuję za odniesienie lodówki. Jeśli potrzebujesz więcej lodu, zaraz ci przyniosę i...

- Już nie potrzebuję - przerwał jej Charlie. - Tak naprawdę, to przyszedłem zobaczyć się z tobą. Podziękować ci. - Patrzył na nią z takim natężeniem, że musiała odwrócić wzrok.

Zaczęła nerwowo układać pisma na stoliku.

- Nie ma za co - powiedziała. - Nie musiałeś przyjeżdżać tylko po to. Przynajmniej tyle mogłam dla ciebie zrobić.

- Wcale nie. Mogłaś całkowicie mnie zignorować.

- Caity by tak nie postąpiła. Nigdy nie odwraca się od przyjaciela - wtrącił się Walt żywo. - Nie rozumiem, czemu mi nie powiedziałaś wczoraj wieczorem, dokąd się wybierasz - zwrócił się do córki.

Cait układała pisma w porządne stosy.

- Bo to nie było nic ważnego.

- W porównaniu z twoją gorącą randką - dodał Charlie. Cait zauważyła, że oczy jej ojca znów się rozszerzają.

- Gorąca randka? - spytał.

- Steve i ja mieliśmy iść do kina - wyjaśniła mu Cait, rzucając Charliemu wściekłe spojrzenie. - Ale Steve miał nagły przypadek... więc wróciłam do domu. Poszliśmy do kina dziś - dodała na użytek Charliego.

Uniósł brwi i spojrzał na zegar.

- Wcześniej wróciłaś. - Podtekst był oczywisty: randka wcale nie była taka gorąca.

- Myślałam, że tato jest sam - odparła Cait z irytacją. - Ale najwyraźniej się myliłam. Tak więc dziękuję ci, że zostałeś i dotrzymałeś mi towarzystwa. Ale teraz nie masz już tu po co dłużej siedzieć.

Walt niemal kipiał z oburzenia, słysząc te szorstkie słowa, ale Charlie się nie przejął.

- Och, było mi bardzo miło. Przyjemnie spędziliśmy razem czas. Miałem wrażenie, jakbym cię już wcześniej znał - powiedział, zwracając się do Walta. - Cait mnóstwo mi o tobie opowiadała.

- Naprawdę? - Walt uśmiechał się jak Kot z Cheshire. - Ale ty - stwierdził oskarżająco - nie powiedziałaś mi o nim ani słowa.

- Kiedy wróciłam do domu, czułam się tak źle, że nie chciałyś słuchać moich opowiadań o wojnie. Leżałam na oddziale intensywnej terapii.

- No, ale potem już mogłem słuchać - zrzędził Walt. - A ty nawet nie wspomniałaś, że znasz tego faceta.

Cait wzruszyła ramionami, nie patrząc na Charliego.

- Nie miałam o nim nic do powiedzenia. - Potem przesunęła na niego wzrok i dodała tonem, którym wyraźnie dawała mu odprawę: - Charlie tylko na chwilę wkroczył w moje życie i zaraz potem się z niego wyniósł.

- Ale teraz wróciłem - powiedział Charlie.

- Na krótko - stwierdziła i ziewnęła, nie zasłaniając ust w nadziei, że zrozumie aluzję. Gdy się nie ruszył, oznajmiła ojcu, że jest zmęczona i idzie na górę.

Ojciec spojrzał na nią z naganą, co Cait świadomie zignorowała. Pocałowała go w policzek, a potem odwróciła się do Charliego.

- Dziękuję za odniesienie lodówki.

- Zjedz ze mną jutro kolację.

Przez chwilę wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Co takiego?

- Zjedz ze mną kolację - powtórzył zaproszenie.

- Nie. Dziękuję.

- Caity! - wykrzyknął zaszokowany ojciec.

- Mam jutro sporo roboty.

- Ale to twój dawny przyjaciel.

- Jutro wieczorem mam szkołę rodzenia.

- Więc później - powiedział Charlie. Był uosobieniem ugodowości.

- Kończę dopiero o dziewiątej.

- Już mam pozwolenie na późniejsze powroty do domu - zażartował Charlie. Walt zachichotał, ale Cait była wściekła.

- Jestem zaręczona - syknęła.

- No to co? Nie pozwoli ci iść na kolację ze starym przyjacielem?

- Nie potrzebuję jego pozwolenia!

- A zatem... - Charlie rozłożył szeroko ręce. - Starzy przyjaciele potrzebują spotkania, by z powrotem nawiązać kontakt.

- Przyjaciele? - Cait rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- Przecież jesteś zaręczona, więc kim innym moglibyśmy być?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Tato zostanie sam...

- I będę się cieszył każdą minutą samotności - przerwał jej ojciec. - Caity, dziecino, nie musisz dla mnie pędzić jak najszybciej do domu. Czuję się całkiem dobrze.

I rzeczywiście, wydawał się bardziej ożywiony, jakby nastąpił jakiś przełom, jakby zdarzyło się coś, co przywróciło mu energię. Czyżby tak na niego podziałała wizyta Charliego?

- Ale jutro wieczorem może nie będziesz się czuł dobrze.

- Uch! - parsknął ojciec. - Przypuszczam, że jakoś to przeżyję. Przestań się nade mną trząść i idź z Charliem.

Przestać się nad nim trząść? Cait zagapiła się na ojca. A kto przez tyle miesięcy ją prosił, by tkwiła przy nim jak kwoka? Kto mówił, że chce, by ciągle była w pobliżu? Ale teraz wydawał się o wiele raźniejszy. Już od dawna go takim nie widziała.

- Dobrze - powiedziała krótko. - Bądź w szpitalu o dziewiątej.

- Czy jeżeli przyjdę wcześniej, mogę zajrzeć do klasy?

- Chcesz się przyglądać, jak grupka przyszłych matek poci się i dyszy?

- Lubię patrzeć, jak kobiety dyszą - uśmiechnął się Charlie, a Walt zdusił chichot.

- Więc proszę bardzo - warknęła. - Zapędzę cię do pracy.

- Liczę na to - odparł Charlie z zadowoleniem.

Cait kręciła się na łóżku całą noc. To tylko dlatego, że ustaliła datę ślubu, wmawiała sobie. Przecież jeszcze nigdy nie planowała ślubu. Miała mnóstwo spraw do przemyślenia. Sam ślub, przyjęcie, muzyka, kwiaty, drużny, lista gości. Charlie...

Odepchnęła tę myśl. Ale, tak samo uparta jak on, zaraz wróciła. Doskonale, mruknęła, patrząc w sufit. Zaproszę cię. Będiesz mógł patrzeć, jak wychodzę za Steve'a. Niech twoje serce się wykrwawi na śmierć. Naciskał na nią, bo wydawało mu się, że jej pragnie. Gdyby powiedziała: „tak, wyjdę za ciebie”, odwróciłby się i uciekł gdzie pieprz rośnie.

Nie była zachwycona, widząc go z ojcem dziś wieczorem. Tak samo nie zachwycała jej perspektywa pójścia z nim na kolację. Gdyby mogła zadzwonić i odwołać to spotkanie, na pewno by to zrobiła. Ale w chacie McCallów nie było telefonu, a jeżeli nawet Charlie miał telefon komórkowy, to ona nie znała jego numeru.

Tak więc spędziła dzień, żywiąc nadzieję, że Charlie się nie pokaże. Ale o siódmej wieczorem, gdy Cait nadeszła, już stał przed salą klasową. Na sam jego widok poczuła gdzieś głęboko w sobie znajomy dreszcz. Zawsze tak reagowała na Charliego. Dawniej myślała, że to dlatego, że jest w nim zakochana. Ale teraz już wiedziała, że nie o to chodzi. To była po prostu reakcja hormonów na przystojnego mężczyznę.

- Wcześniej przyszedłeś - zauważyła.

- Interesuje mnie to.

- Grupka kobiet w ciąży?

- I ich nauczycielka. Poczuła, że palą ją policzki.

- Charlie, przestań. - Szybko go minęła i weszła do sali.

- Mówię prawdę.

- Jesteśmy przyjaciółmi, zapomniałeś? To ty tak powiedziałeś. Jeżeli chcesz zmienić zasady, to zabieraj się stad.

Wzruszył ramionami.

- Świetnie. Jesteśmy przyjaciółmi. - Poszedł za nią na przód sali i chwycił ją za rękę, zanim zdążyła się cofnąć - Cait, zawsze byliśmy przyjaciółmi.

Rzeczywiście, tak było. To ona chciała czegoś więcej, to ona miała nadzieję na więcej, to ona myślała, że są dla siebie kimś więcej. Szarpnęła się, by wyrwać rękę, ale nie puścił. Wiedziała, że tego nie robi, póki się z nim nie zgodzi.

- Dobrze - rzekła ze znużeniem. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Doskonale. Myślałem, że może mógłbym zrobić trochę zdjęć.

- Czego?

- Twoich uczennic.

Popatrzyła na niego, myśląc, że żartuje, ale wygląda! bardzo poważnie.

- W ostatnich dniach ciągle fotografowałem rodziny: mamy, dzieci. Może nawet i kilku ojców.



- Rodziny? - zdziwiła się. To nie pasowało do Charliego.

- To, czego mama uczy swoje młode. Widziałem dziś rano łoszę z cielęciem. - Na jego twarzy wykwitł uśmiech zachwytu. - Cudowne. - Potem, jakby trochę się zawstydził entuzjazmu, z którym się zdradził, dodał: - Nad tym teraz pracuję. Fotografuję to, co mnie interesuje.

- Czyli mamy i dzieci? - Cait pozwoliła sobie na sarkastyczny ton.

- Tak. Zbieram materiał. Nad tematem zastanowię się później.

- Wydawało mi się, że masz swój temat. Nieludzkość.

- Miałem - przyznał Charlie. - Ale dzięki Bogu na tym świat się nie kończy. A ja... chcę go badać. - Przez chwilę stał zamyślony. - Widziałem dość tego, co nieludzkie. Pomogłem innym to zobaczyć. Ale kiedy zostałem ranny, zacząłem myśleć, że istnieje mnóstwo innych sfer życia, którymi do tej pory w ogóle się nie interesowałem. Żyłem tylko połowicznie. Gaby mi powiedziała, że już czas, by ruszyć do przodu. I miała rację.

Cait zdziwiła jego szczerą. Mimo to trudno jej było wyobrazić sobie Charliego fotografującego matki i niemowlęta. To był temat tak odmienny od tego, co robił przedtem. Pozytywny, a nie negatywny. Afirmacja życia, a nie rejestrowanie śmierci i zniszczenia. Zwiastun nadziei, a nie rozpacz. No i rodziny na ogół miały dom. Natomiast Charlie nigdy nigdzie nie osiadł na dłużej. Zawsze był niespokojnym duchem, chętnie ruszał dalej, pędził tu i tam, ciekawy, co jest za następnym wzgórzem albo w jutrzejszych wiadomościach.

- Spytaam moje uczennice, czy się zgadzają - powiedziała. - Przedstawię im ciebie, i zobaczymy.

Postanowiła traktować Charliego jak jeszcze jeden szczegół wystroju wnętrza. Niech sobie tu siedzi. Pójdzie

nawet z nim na kolację. Ale nic więcej. Dalej nie jest skłonna się posunąć.

W końcu pojawiła się ostatnia para: Angie Mayhew, zaledwie siedemnastoletnia i najmłodsza z przyszłych mam, w towarzystwie swojej opiekunki, Maddie Fletcher, kobiety sporo po siedemdziesiątce. Angie jak zwykle była w złym humorze, ale wykazująca się świętą cierpliwością Maddie promieniała, jak zawsze.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Maddie. Angie nadal okazywała swoją złość, póki nie zobaczyła Charliego. Wtedy w jej oczach zapaliły się iskierki zainteresowania.

Cait poczuła jeszcze większą niż zwykle irytację z powodu tej dziewczyny. Ale odepchnęła od siebie gniew i odchrząknęła.

- Mamy dziś gościa, mojego znajomego, który przyjechał z Kalifornii. To Charlie Tropiący Łosie. Charlie jest fotografikiem i prosi was, żebyście mu pozwoliły zrobić kilka zdjęć podczas naszej lekcji. Nie jestem całkowicie pewna, co zamierza, więc niech sam to wyjaśni.

Jeżeli Charlie był zaskoczony, gdy wywołała go na trybunę, nie dał tego po sobie poznać. Spojrzał znad aparatu, w którym ustawiał ostrość, i uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym uśmiechem, który powodował, że natychmiast wszystkie kobiety były pod jego wrażeniem. Powiedział, że do tej pory fotografował bardzo ponure rzeczy. Nieszczęście i ból były znakiem firmowym jego pracy.

- W końcu uświadomiłem sobie, że jeżeli nadal będę się skupiał tylko na tym jednym aspekcie, stracę wielką część życia - powiedział. - Najlepszą część. Sfotografowałem już tyle śmierci i umierania. A teraz chciałbym spojrzeć na drugą stronę. Tak więc chciałbym zrobić tutaj kilka zdjęć - narodzin i przygotowań do narodzin. Te ujęcia będą nieplanowane, niepozowane. Jeżeli okaże się, że są dobre, na wiosnę, z

waszym pozwoleniem, wystawię je w galerii w Santa Fe. Co wy na to?

Kobiety, z wyjątkiem Angie, wydawały się zażenowane, ale pokiwały głowami na zgodę. Angie wprost muskała piórka. To na benefis Charliego. Cait była tego absolutnie pewna.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - poprosił Charlie. - Słuchajcie Cait i udawajcie, że mnie tu nie ma.

Ale jak można by nie zwracać na niego uwagi! Kobiety ani na chwilę o nim nie zapomniały. Rzuciły w jego kierunku ostrożne spojrzenia, oglądały się na niego przez ramię.

Cait była tak samo świadoma jego obecności jak jej uczennice. Może nawet bardziej. Ale ponieważ tutaj ona kierowała sprawami, zmusiła się, by zacząć lekcję. To był trzeci tydzień sześciotygodniowego kursu. Nadszedł czas, by zabrać się do konkretów.

- Dziś zaczniemy od obejrzenia filmu na wideo - oświadczyła. - O przebiegu porodu i narodzinach dziecka, żebyście wiedziały, czego oczekiwać. Zobaczycie w praktyce techniki oddechu. To wam pomoże zrozumieć, o czym się uczycie.

Mówiąc, zerknęła na Charliego, ale on stał nieruchomo i słuchał. Cait spodziewała się, że Charlie wyjdzie na czas filmu. Ale on pozostał na swoim miejscu, oparty o kontuar z boku sali, i patrzył, przejęty, jak w transie, na przebieg porodu pokazywany na ekranie.

A na koniec, gdy matka trzymała w ramionach swoje dopiero co urodzone dziecko, wyglądał tak, jakby doznał wstrząsu.

- A więc - powiedziała Cait po przewinięciu taśmy - teraz, gdy wicie, co was czeka, zabieramy się do ćwiczenia oddechu. Proszę podejść do swoich partnerów.

Charlie ruszył się ze swojego miejsca i robił zdjęcia, jedno za drugim. Ciężarne kobiety, narzekając i śmiejąc się ze swojej niezręczności, siadały na podłodze. Ich partnerzy klękali za nimi, wszyscy prócz Maddie, która ruszała się raczej wolno.

- To przez ten cholerny artretyzm w kolanie - powiedziała, pół uśmiechnięta, pół skrzywiona. - Nie jestem już taka młoda jak kiedyś.

Angie patrzyła na nią niecierpliwie, nie robiąc nic, by jej pomóc.

- Proszę - powiedział Charlie, stawiając krzesło za matą, na której siedziała Angie. - Tu będzie pani wygodnie.

- Ale mam jej pomagać - zaprotestowała Maddie.

- Może pani pomagać stamtąd - oświadczył stanowczo. - Jeżeli trzeba będzie coś zrobić na podłodze, ja to zrobię.

- Ona ma położyć ręce na moim brzuchu - poinformowała go Angie z nieśmiałym, chociaż zachęcającym spojrzeniem.

Charlie tylko wzruszył ramionami.

- Potrafię to zrobić.

Angie poweselała, ale za to Cait przeszło jakieś nieprzyjemne, przykre uczucie. Odwróciła się tyłem i zaczęła ćwiczenia oddechowe.

- Proszę! Wszyscy razem. Zaczynamy.

Wydawało jej się, że do końca lekcji Charlie nie zrobił już więcej ani jednego zdjęcia, ale za to udało mu się zmusić Angie do skupienia uwagi na zajęciach. Oczywiście zachowywała się tak posłusznie tylko dlatego, by wyrzeć wrażenie na Charliem. Na poprzednie lekcje przychodziła wyłącznie dlatego, że Maddie bardzo na to nalegała.

- Przyrowadzam konia do wody - powiedziała Maddie do Cait któregoś razu. - Ale tylko sam Pan Bóg wie, czy zechce się napić.

Zechce, pomyślała Cait ze złością, jeżeli Charlie tu będzie, by jej pomagać.

Zajęcia dobiegły końca, Cait podeszła do Charliego.

- Jestem gotowa - oznajmiła szorstko. Charlie odwrócił się i uśmiechnął do niej.

- Ja też.

Zebrała siły, a potem zwróciła się do Maddie i Angie.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Tak - powiedziała Maddie i wzięła Charliego za rękę. - Przyjmij podziękowania od moich starych kolan.

Angie chwyciła go za drugą rękę.

- Przyjdiesz za tydzień, prawda?

I to mówi dziewczyna, która do tej pory broniła się jak mogła przed uczęszczaniem na zajęcia!

Charlie rzucił spojrzenie w kierunku Cait

- Jeżeli ona mi pozwoli.

Cait czuła, jak jej się zaciskają zęby. Nie zdobyła się na uśmiech.

- Możesz przychodzić, pod warunkiem, że nie będziesz przeszkadzał.

- Nie będzie! - krzyknęła Angie radośnie. - Bardzo mi pomaga.

Cait uniosła brwi w wyrazie uprzejmego sceptycyzmu. Ale Maddie uśmiechnęła się i uściśnęła Cait.

- To prawda, jest bardzo pomocny - przyznała.

Cait nie była tego taka pewna. Wiedziała wszystko o tym, jak Charlie Tropiący Łosie potrafi wyprowadzać kobiety na manowce, jak nawet wtedy, gdy wcale tego nie chce, wywiera katastrofalny wpływ na płć przeciwną.

- No, zrobiłeś na niej wielkie wrażenie - powiedziała opryskliwie, wychodząc z klasy.

Charlie dogonił ją.

- Miło jest wywierać na kimś wrażenie.

- Tylko nie podprowadź jej dalej, niż chciałeś.
  - Nie podprowadzam kobiet.
  - Może się o to nie starasz. Czasami tak się po prostu zdarza. A Angie nie potrafi się obronić.
  - Zauważyłem - powiedział Charlie. A po chwili spytał: - Co z ojcem dziecka?
  - Nie jest prawdziwym mężczyzną - parsknęła Cait. - Uciekł, gdy się dowiedział, że Angie jest w ciąży. Potem jej własna rodzina wyrzuciła ją z domu. Przez jakiś czas mieszkała z koleżanką, ale zaczęła flirtować z chłopakiem tej koleżanki i stamtąd też została wyrzucona. Skończyła w Bozeman i ktoś poinformował o niej Marthę Reese. Martha jest pracownicą opieki społecznej. Namówiła Maddie, by wzięła dziewczynę do siebie. Teraz Maddie ją tu przyprowadza, próbuje przekonać, by pozwoliła sobie pomóc i wreszcie jakoś ułożyła sobie życie. Ale Angie nie chce jej słuchać.
  - Znam to uczucie - powiedział Charlie takim tonem, że Cait rzuciła mu spojrzenie spod oka.
  - Gdzie chcesz iść na kolację? - spytał, gdy znaleźli się na parkingu.
  - Do „Barrel” - powiedziała. - To odpowiedni lokal na kolację z przyjacielem.
  - Przecież to bar - zaprotestował.
  - Skąd wiesz? - zdziwiła się.
  - Byłem tam. - Nic więcej nie wyjaśnił, po prostu skrzywił się ze złością, a potem wzruszył ramionami. - Jeżeli tego właśnie chcesz, to proszę bardzo. - Ruszył do swojego srebrzystego porsche'a.
- Ale Cait nie zamierzała jechać z Charliem.
- Spotkamy się na miejscu.
- Znów się wykrzywił ze złością, ale w końcu skinął głową.
- Jeśli tak sobie życzysz.

- Właśnie tak - odparła stanowczo Cait.

W "Barrel" panował spory hałas i ożywienie. Na tyłach ludzie grali w bilard, bar był obleżony, zostało niewiele wolnych stolików. Charliemu wydawało się, że Cait zna tu wszystkich. Co chwilę przystawała, żeby pogadać, obojętnie przedstawiając go jako przyjaciela z Los Angeles, z którym poznała się za oceanem. Miał wrażenie, że za mocno akcentuje słowo „przyjaciel”.

- Dołączcie do nas - zaproponowała jedna ze znajomych Cait, milutka brunetka.

Cait uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Z wielką przyjemnością...

- .. .byśmy z wami usiedli - wpadł jej w słowo Charlie - ale mamy sporo zaległości do odrobienia. - Wziął Cait za ramię i stanowczo pokierował do przodu.

- Musisz być taki gruboskórny? - mruknęła.

Znalazł stolik i odsunął dla Cait krzesło stojące tyłem do sali tak, by nie mogła liczyć na pomoc przyjaciół. Czekał, nie miała innego wyboru, jak tylko usiąść tam, gdzie sobie życzył. Podsunął jej krzesło do stołu i sam usiadł naprzeciwko.

- No więc, czyż nie jest miło?

Cait miała taką minę, jakby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Ale Charlie był zadowolony.

- Podobały mi się zajęcia, które prowadziłaś.

- Czyżby cię zachęciły, by natychmiast sprawić sobie potomka?

- Uświadomiły mi, jak silne są kobiety. Nigdy przedtem nie widziałem, jak rodzi się dziecko. To ciężka praca - powiedział.

Cait skinęła głową.

- Ale to tylko początek. Wychowanie dziecka to dopiero ciężka praca.

- Tak. - Uśmiechnął się niepewnie. - Mama misiowa też się natrudzi.

- Widziałeś je ostatnio?

- Dziś po południu. Twój tato pokazał mi dobre miejsce do obserwacji.

- Mój tato? - zdumiała się Cait.

- Tak. Przyjechał do mnie rano, gdy wychodziłem poszukać niedźwiedzi. - Zauważył jej zaskoczenie. - A co? Nie chcesz, żebyśmy się zaprzyjaźnili?

Ale ona wydawała się zbita z tropu, a nie zła.

- Jestem... po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, co on robił tam, na górze. - Pokiwała głową. - Od powrotu ze szpitala prawie nie wychodził z domu.

- Myślałem, że to było zeszłego lata.

- Zeszłej jesieni. Ze szpitala wypuścili go na początku października. Myślałam, że zabierze się z powrotem do pracy na wiosnę. Ale on nic nie robił. Po prostu siedział w domu i patrzył przez okno... - Przerwała. - A więc przyszedł do ciebie do chaty?

- Mówił, że jest jakieś stado, którego musi dojrzeć.

- Nie przyjechał samochodem? - przeraziła się Cait. - Był konno?

- Wydawało mi się, że czuje się całkiem dobrze. Pojechaliśmy kawałek w dół strumienia, a potem pochodziliśmy i...

- Chodził?

- Cait, on jeszcze nie stoi nad grobem! - wykrzyknął Charlie, ale teraz on też zaczynał się niepokoić.

- Muszę do niego zadzwonić - oświadczyła Cait. - Sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Co takiego mu wczoraj powiedziałaś, że natchnęło go to do wyjścia?

- Co ja mu powiedziałem?



Ale Cait już biegła do telefonu. Charlie zerwał się i popędził za nią. Ze słów Cait, z początku czułych i troskliwych, a potem dość szorstkich, Charlie zrozumiał, że Walt czuje się dobrze.

- Wcale cię nie niańczę! - zaprotestowała. - Dobrze. Do zobaczenia. - Wydawała się jednocześnie obrażona i zaskoczona. - Zachowuje się tak, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz - mruknęła, wracając do stolika.

- Może i była. - Charlie wzruszył ramionami. Ale Cait tylko pokiwała głową.

- Tak po prostu wyszedł po tych wszystkich miesiącach siedzenia w domu i wybrał się do ciebie, żeby pokazać, gdzie sam kiedyś widział niedźwiedzie? - Spojrzała na niego zmrużonymi oczami. - O czym rozmawialiście?

- O niedźwiedziach.

- Tylko?

- O moim albumie - dodał po chwili. - I o Wietnamie.

- Opowiadał ci o Wietnamie?

- Tak.

Przyszła kelnerka i przyjęła zamówienie. Gdy odeszła, Cait spojrzała Charliemu w oczy.

- Nigdy z nikim nie rozmawia o Wietnamie.

- Czasami to trwa jakiś czas. Sama dobrze wiesz, że ty też widziałaś rzeczy, o których nie będziesz paplać po powrocie do domu.

- Tak, ale... Ale w swoim albumie pokazujesz jak tam było.

- Zawahała się, jakby nie mogąc się zdecydować, ale w końcu spytała: - Co mówił?

Kelnerka przyniosła piwo. Charlie oplótł szklanekę palcami.

- Mówił o ludziach. O tych w mundurach i o tych, którzy tam żyli. O nauczycielce, którą poznał. Pytał, czy ja się zbliżyłem z ludźmi, z którymi pracowałem.

Ich spojrzenia się spotkały. Oboje pomyśleli o tym, jak bliscy sobie byli. Potem Cait nagle odwróciła wzrok. Wzięła swoją szklankę i usiadła tak, by patrzeć na salę, na grających w bilard, na barmankę. Charlie zwilżył usta.

- Rozmawialiśmy też o Resi.

Przez chwilę wydawało się, że w sali zapanowała śmiertelna cisza. Charlie położył płasko ręce na stole i patrzył na Cait.

- Natomiast my, ty i ja, nie rozmawialiśmy o Resi.

Cait przełknęła ślinę. Zaciskała ręce na szklance tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Bardzo lekko wzruszyła ramionami, jakby bała się, że ugnie się od gwałtowniejszego ruchu. A Charliego bolało serce, gdy ją taką widział. I wiedział, że w pełni sobie na ten ból zasłużył.

- Z jakiego powodu mielibyśmy rozmawiać o Resi? - spytała spokojnym głosem po dłuższej chwili.

- Bo to ważne. Chociaż - przyznał - bałem się pozwolić, by Resi stała się dla mnie zbyt ważna.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale się nie odezwała.

- Twój tato mówił, że adoptowali ją jacyś twoi przyjaciele.

- Morse z żoną.

- Morse?! - wykrzyknął Charlie. - Morse Griffin? Pan Nic - Mnie - Nie - Zdoła - Wzruszyć?

- Resi go wzruszyła - powiedziała Cait po prostu. Charlie siedział bez ruchu, zaszokowany. Ze wszystkich ludzi, których poznał w Abuku, Morse Griffin był ostatnią osobą, jaką by o to podejrzewał. Mimo że był żonaty, Morse wydawał się jeszcze bardziej lękać bliższych związków z ludźmi niż Charlie.

- Czy oni... to znaczy... - Nie potrafił znaleźć słów. - Jesteś z tego zadowolona?

- Oczywiście, że tak - odparła Cait ostro. - Morse i Jeannie są dobrymi rodzicami.

- Tak, ale... - Głos mu zamarł. - To ty chciałaś...

- Chciałam ją adoptować. Ale byłam samotna i by mi nie pozwolono. Rząd ma pewne wymagania.

- Tak. Ale żeby Morse? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy...

- Jeannie chciała mieć dzieci, a Morse jest bezpłodny - wyjaśniła.

- Uch. Ale w końcu człowiek godzi się z sytuacją.

- I Morse się pogodził. Wątpię, czy w ogóle wzięłby pod uwagę adopcję, gdyby nie chodziło o Resi. Ale ona potrzebowała domu... więc... gdy przestałaś ją odwiedzać, on zaczął.

To właśnie Morse'a Charlie dorwał i zmusił, by go odwiózł na lotnisko tego ranka, gdy wyjeżdżał. Przez całą drogę Morse zadręczał go pytaniami, myślał, że Charlie jedzie w jakimś określonym celu, nie przyszło mu do głowy, że po prostu ucieka.

- Tak. - Stek Charliego zaczął stygnąć, kelnerka przyszła spytać, czy mu nie smakuje. Charlie uspokoił ją i zabrał się do jedzenia. Chyba był dobry, ale on nie czuł smaku. - Widujesz ich? - spytał po chwili.

Cait uśmiechnęła się w rozmarzeniu.

- Widziałam się z nimi w lutym. Właśnie adoptowali chłopczyka, Trávisa Marka. Byli bardzo szczęśliwi.

- Resi też?

- Ona najbardziej ze wszystkich. Radzi sobie bardzo dobrze. Niedługo skończy siedem lat. Na jesieni pójdzie do drugiej klasy. Powiedziała Morse'owi i Jeannie, że jest już duża i ma dość tego, że jest jedynaczką, więc chce mieć

braciszka albo siostrzyczkę. - Cait uśmiechnęła się jakoś smutno. - Teraz czule opiekuje się Travisem.

Charlie zobaczył łzy w oczach Cait. Gardło mu się ścisnęło, nie mógł przełknąć kęsa, który miał w ustach. Ale przynajmniej to go uchroniło od konieczności powiedzenia czegoś i wstydu, gdyby głos mu się załamał.

- Tak więc - powiedziała w końcu raźniej - zrobiłeś im przysługę.

Ale ta myśl wcale go nie pocieszyła.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dobrze sobie poradziła. Bardzo dobrze. Przeszła przez zajęcia w szkole rodzenia, nie okazując Charliemu, jak bardzo jest świadoma jego obecności. Przeżyła też kolację w „Barrel”. Nawet zdołała pogodnie rozmawiać o Resi, podkreślając pozytywne strony adopcji. Zresztą mówiła prawdę, że zrobił tamtym ludziom przysługę. Jej też.

- Ziemia do pani Blasingame. - Kpiący męski głos przedarł się przez harmider panujący w szpitalu, którego nauczyła się nie słyszeć, i wyrwał ją z zamyślenia.

- Och! - Podniosła wzrok znad papierów, nad którymi beczynnie siedziała już od dłuższego czasu, i zobaczyła uśmiechniętego Steve'a. - Cześć - odwzajemniła uśmiech.

- Dzień, dobry. Cieszę się, że cię złapałem. - Wyciągnął z kieszeni koszuli złożoną kartkę i podał ją Cait. - Proszę.

- Co to jest?

- Lista gości. Przynajmniej na początek.

Cait rozłożyła kartkę i zdumiała się. Było tam co najmniej sto nazwisk.

- Początek? - jęknęła, gdy już się pozbierała.

- Lekarze z tutejszego szpitala i z Bozeman. Ich żony. Personel biurowy. Kilku facetów, z którymi grywam w golfa... Pomyślałem sobie, że skoro mamy coś w rodzaju opóźnionego startu, powinienem teraz nadgonić czas. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z matką. Ona proponuje następną setkę gości.

- Następną... setkę?

- Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Ja... eee... nie. Po prostu jeszcze o tym nie myślałam. - Szczerze mówiąc, przerażało ją już samo myślenie o weselu. Cóż ona mogła wiedzieć o planowaniu wesel?

- Pomogę ci - obiecał Steve. - A moja mama przyrzekła, że kiedy tylko będziemy jej potrzebowali, zaraz przyleci tu z Bostonu. Była pewna, że sobie z niej żartuję, gdy

powiedziałem, że się pobieramy, skoro do tej pory nigdy nie podałem jej żadnej konkretnej daty.

Cait tylko raz spotkała się z matką Steve'a. Carolyn Carmichael była Najbardziej Zorganizowaną Kobieta na Świecie i wprost uwielbiała udowodniać to, organizując ludziom życie. Cait nie potrzebowała takiego ludzkiego buldożera właśnie teraz, niezależnie od tego, jak dobre intencje miała jej przyszła teściowa.

- Uhm, dziękuję. - Cait udało się radośnie uśmiechnąć. - Powiedz mamie, że skontaktuję się z nią. Ja... muszę najpierw parę rzeczy sprawdzić.

- Doskonale. - Steve pocałował ją we włosy i już odwrócił się do drzwi, ale jeszcze się cofnął. - Nie przejmuj się próbną kolacją.

- Jaką kolacją?

Steve uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mama mówi, że to należy do pana młodego. Zajmiemy się wszystkim.

- Dobrze. Przynajmniej jedna rzecz, która mi odpadnie z mojej listy spraw do załatwienia - powiedziała z całym ożywieniem, jakie mogła w sobie odnaleźć.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy będę miał pełną listę gości - obiecał Steve. - I możemy... - Na szczęście w tym momencie odezwał się jego pager. - Muszę lecieć. Zadzwoń. - Jeszcze raz cmoknął ją i popędził do sali operacyjnej.

Cait siedziała i wpatrywała się w listę. Gdzie ona znajdzie odpowiednią salę, która by pomieściła tylu ludzi? Dwustu najdroższych krewnych i przyjaciół Steve'a. Co im da do jedzenia? Gdzie się zatrzymają?

Zaczynała odczuwać panikę, przez głowę przelatywały jej tysiące pytań. Poza tym nigdy nie chciała hucznego wesela. Zawsze sobie wyobrażała bardzo kameralną uroczystość: jej najbliżsi przyjaciele, ojciec, jej brat Wes, kilku kuzynów,

Chase i Joanna i tych parę osób, na których Charliemu najbardziej zależało.

Charliemu? Cait oblała się zimnym potem. Nie! Nie Charliemu. Ma myśleć o Stevie! O Stevie, którego kochała! O Stevie, za którego wyjdzie za mąż!

Charlie! Coś takiego! Jak umysł mógł jej spłatać takiego figla? Wściekła, wpakowała kartkę z listą do torebki i wstała. Ręce miała lepkie od potu i drżące. Musi wyjść na świeże powietrze, porozmawiać z kimś, kto sprowadzi ją na właściwą drogę, z kimś, kto zna się na weselach i może jej pomóc.

Prosto z pracy pojechała do Mary Holt. Czyż Mary nie obiecała, że we wszystkim pomoże? Ale ona, patrząc w osłupieniu na listę, którą Cait jej podała, jęknęła:

- Dwieście osób? To nie moja liga. Możemy zadzwonić do Poppy. I Milly. One będą wiedziały, co robić. Poppy jest profesjonalistką.

Poppy Nichols miała kwaciarnię w Livingston, „Ogród Poppy”. Była więc kimś w rodzaju eksperta od ślubów i Cait uznała, że skontaktowanie się z nią to dobry pomysł.

- Świetnie. Nie chcę się kompromitować przed matką Steve'a.

- Moja droga, bohaterką ślubu nie jest teściowa. Jeżeli wybrałaś odpowiedniego mężczyznę, nie potrzebujesz nikogo więcej.

Cait poczuła się tak, jakby zabrakło jej powietrza.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Mary aż zamrugnęła, słysząc, jak ostrym tonem zostało to powiedziane.

- Och, nic takiego. Po prostu to, że najważniejszy jest pan młody.

- No tak, oczywiście - przyznała Cait. Ale napięcie jej nie opuściło.

- Nie przejmuj się jego matką. - Mary poklepała ją po ręce. - Poradzisz sobie. A jeżeli jednak się niepokoisz, to po drodze do domu wstąp do sklepu.

- Po co? - zdziwiła się Cait.

- Możesz tam kupić najnowsze magazyny dla panien młodych. Przeczytaj kilka i staniesz się ekspertem. Będziesz znała najlepsze miejsca na spędzenie miodowego miesiąca, odpowiednią liczbę dań, które trzeba podać na bardzo formalnym przyjęciu, odpowiedni tekst zaproszeń. Powiedzą ci dokładnie, co robić.

- Naprawdę? - Cait nawet nie wiedziała, że istnieją czasopisma dla panien młodych.

- Słowo ci daję, że znajdziesz tam wszystko, co musisz wiedzieć. I jeszcze więcej.

Ale Cait wątpiła, czy taki magazyn jej powie, jak zapomnieć o nieodpowiednim mężczyźnie.

- Whitelaw. - Głos był niewyraźny. Albo kłopot z połączeniem, albo...

- Hej, to ja - powiedział Charlie.

- Dobrze się czujesz? - Rozpoznając Charliego na drugim końcu transatlantyckiej linii, Chase natychmiast otrzeźwiał.

- Tak, dobrze.

- Jesteś w jednym kawałku? Nikt do ciebie nie strzelał?

- Nie.

- No to, jeśli tak, to czy ty do diabła wiesz, która jest godzina?

- Eee... przepraszam. - Skoro w Montanie był wczesny wieczór, to która mogła być godzina tam, w willi nad jeziorem Como, gdzie Whitelawowie spędzali tydzień wakacji? Pewnie około czwartej rano. - Ale...

Ale wcale nie było mu aż tak przykro. Wszystko zaczęło się w nim gotować już po południu, gdy przyszedł Walt. Przeprowadzał któreś stado i wstąpił, by „pogadać”, jak



wyjaśnił Charliemu. I wtedy zaczął zrzędzić i skarżyć się na Cait, która kazała mu włożyć smoking na ślub.

- Do diabła - powiedział - nie miałem na sobie smokingu nawet na własnym ślubie.

Opowiadał o tym, że zostaną zaproszone setki ludzi i Cait uznała, że musi wynająć ratusz, bo nigdzie indziej ich nie pomieści, i o tym, że na jego zaproszeniu będzie wypisane „Walter Francis Blasingame”, i nikt w całym hrabstwie go nie rozpozna po takiej formule.

- Nawet moja świętej pamięci mama nie nazywała mnie Walter Francis - narzekał.

Dla Charliego wszystko to brzmiało bardzo ostatecznie. I jego plan, by pozwolić Cait samej odzyskać rozum, zaczął mu się wydawać straszliwym błędem. Gdy Walt pojechał, Charlie krążył po chacie, zastanawiając się, czy postępuje właściwie, czy też raczej powinien wdrzeć się do domu Cait i ją porwać.

- Muszę coś zrobić - rzekł, gdy skończył opowiadać Chase'owi o swoich problemach.

- Po prostu przeczekaj. - Charlie słyszał, jak Chase coś mówi, a potem Joanna odpowiada mu zaspianym głosem. - Ona cię kocha - przekazał Chase. - Ale - dodał ze złością - nie musi z tobą rozmawiać o czwartej rano, stojąc tak jak ja na balkonie w samych szortach.

Charlie uśmiechnął się.

- Jesteś wspaniałym przyjacielem.

- Jestem kimś więcej niż tylko przyjacielem.

- Wiem. - Chase zastąpił mu ojca, którego Charlie właściwie nigdy nie miał. Byłby go adoptował, gdyby Charlie na to pozwolił. Ale on się na to nie zgodził.

Jednak Chase i Joanna nie pozwolili mu odejść.

- Dobrze - orzekli po prostu. - Nie chcesz być Whitelawem, w porządku. Ale nadal należysz do rodziny.

I mimo jego determinacji, by trzymać się na uboczu, rzeczywiście stał się członkiem rodziny.

- Jesteś dobrym tatą - powiedział Charlie. Nastąpiła chwila ciszy. Długa chwila ciszy.

- Dziękuję - odezwał się w końcu Chase. - A teraz zobaczmy, czy zasługuję na pochwałę. O co tym razem chodzi?

- Ona wychodzi za nieodpowiedniego faceta!

- Czyli, innymi słowy, nie za ciebie - sprecyzował Chase.

- Rzeczywiście, nie za mnie. Jej tato opowiadał, że po całym domu walają się magazyny dla panien młodych. I że cały czas rozprawia o zaproszeniu setek ludzi. O smokingach. O kolacji przy stole.

- Coś takiego!

- Więc sam rozumiesz, jak poważnie do tego podchodzi! - wykrzyknął Charlie. - Nikt nie robi takich przygotowań, żeby potem zrezygnować.

- Joanna tak zrobiła - przypomniał mu Chase.

- Co takiego? - Charlie nagle przypomniał sobie, że pięć lat przed tym, jak Joanna i Chase ostatecznie się pobrali, już raz poszli do ślubu. Ceremonia w wielkim stylu toczyła się do chwili, gdy miała zostać wypowiedziana przysięga małżeńska, a wtedy Joanna spanikowała. Uciekła od ołtarza.

- Niezależnie od powodu, nie chciała wyjść za mąż. Czowała, że wywieram na nią presję, i ulegała, aż do ostatniej chwili. A wtedy wywinęła się. Chyba nie chcesz, żeby twoja ukochana zrobiła ci to samo?

- Nie.

- Więc przyjmij moją radę i nie popędzaj jej. Dwa lata temu nie byłeś gotowy do małżeństwa - przypomniał mu Chase.

- Ale teraz jestem.

- A ona nie. Oboje musicie uznać, że tego chcecie.

- Mówisz, że mam po prostu czekać? - Charlie był przerażony. - I nic nie robić?!

- Po prostu czekaj - powiedział Chase, chociaż Charlie wcale nie chciał tego usłyszeć.

- A jeżeli - Charlie w końcu wypowiedział na głos to, czego najbardziej się bał - nigdy nie będzie gotowa?

- To wtedy niech ci Bóg pomoże.

Ostatnią rzeczą, jakiej Cait pragnęła, było prośenie Charliego o przysługę. Ale Maddie Fletcher zadzwoniła rano, i nie miała żadnego wyboru. Oczywiście, Charlie może wcale nie przyjdzie na zajęcia. Powiedziała o tym Maddie.

- No, poprosisz go? - nalegała.

- Jeżeli przyjdzie - odparta Cait, wzdychając.

Ciągle miała nadzieję, że się nie pojawi. Miała nadzieję, że wreszcie zrozumiał sytuację. Kiedyś ona była nim zainteresowana na tyle, by chcieć za niego wyjść, ale on odwrócił się od niej. A teraz ona już go nie chce. Wychodzi za innego.

Przecież kocha Steve'a. Całe to naleganie Charliego w najmniejszym stopniu tego nie zmieni. Nawet nie ma czasu, by o nim myśleć, bo korzystając z co najmniej pół tuzina fachowych magazynów, planuje wesele. Sporządziła listy, dzwoniła do firm cateringowych, rozmawiała z Poppy na temat kwiatów, omówiła z Polly McMaster sprawę wynajęcia ratusza w Elmer. Stała się ekspertem w zakresie zaproszeń na ślub, formalnych i nieformalnych. W nocy śniły jej się gatunki papieru, decydowała: welin czy czerpany, brzegi kart gładkie czy w ząbki, kursywa czy prosty druk. Przez sen wybierała rodzaj czcionki. Było to niewypowiedzianie nudne. Ale lepsze niż śnić o Charliem.

Dlaczego jednak nigdy nie przyśnił jej się Steve? Był mężczyzną, którego kochała, mężczyzną, z którym spędzi resztę życia. Dziś po południu zadzwonił i spytał, czy pojedzie

z nim w ten weekend do Denver, żeby poszukać mieszkania. Wahala się ze względu na ojca.

- Zaczął wracać do zdrowia. I do pracy. A długo na to czekałam.

- Naprawdę? - ucieszył się Steve. - Kiedy zaczął?

- Dwa tygodnie temu. - Od czasu gdy poznał Charliego. Po co ojciec się z nim tak często widuje? Z początku Cait sądziła, że to Charlie szuka towarzystwa jej ojca. Ale z tego, co ojciec mówił, wynikało, że się myli. To jemu zależało na rozmowach z Charliem.

- Pokazałem Charliemu, gdzie w zeszłym roku widziałem niedźwiedzie - powiedział któregoś dnia.

- Ja i Charlie pojechaliśmy na drogę do Hill Lake - oznajmił kiedy indziej. - Uczyłem go naprawiać ogrodzenia.

- Uczysz Charliego naprawiać ogrodzenia? Po co?

- Jest coraz lepszym pomocnikiem - wyjaśnił. - I sporo wie o koniach. Uczy się o bydło. Jest zdolnym uczniem.

Co tu się dzieje? Dlaczego Charlie uczy się kowbojskiego fachu? Dlaczego jej ojciec jest tak zainteresowany tym człowiekiem? Ale nie spytała, bo w ogóle nie chciała rozmawiać o Charliem.

Miała płonną nadzieję, że Charlie dziś nie przyjdzie. Ale wcale nie zaskoczyło jej, gdy podchodząc do drzwi, zobaczyła, że stoi w holu i czeka na nią. Stał swobodnie oparty o ścianę. Miał na sobie dzinsy i niebieską bawełnianą koszulę z długimi rękawami, a także boty - teraz to zauważyła, zirytowana, że wygląda tak, jakby tu przynależał. Na jej widok wyprostował się, lekko się krzywiąc, gdy przeniósł ciężar ciała na chorą nogę.

Nie spytała, co u niego słyhać. I tak wszystko jest w porządku, przekonywała się. Przecież teraz całymi dniami jeździł konno z jej ojcem. Poza tym, nic ją to nie obchodzi.

Przezcesał palcami swoje czarne, opadające na czoło włosy.

- Cześć. - Uśmiechnął się. To był standardowy uśmiech Charliego Tropiącego Łosie, z powodu którego, Cait była tego pewna, kobiety na całym świecie padały mu do nóg.

Całe szczęście, że ona jest na to odporna.

- Cześć - odparła. Zdobyła się na uprzejmy uśmiech. - Maddie chce cię prosić o przysługę. Zależy jej, żebyś dziś popracował z Angie.

Charlie przechylił głowę.

- A czego chce Angie?

- Przypuszczam, że ciebie w swoim łóżku - odparła Cait cierpko. Otworzyła kluczem drzwi klasy i weszła.

Charlie poszedł za nią.

- Nie przejmuj się - powiedział z rozbawieniem. - Należę do tego typu mężczyzn, którzy zawsze są wierni swojej kobiecie.

Cait rzuciła mu złe spojrzenie.

- Charlie, nie zaczynaj od nowa!

- Przecież nic nie robię. Tylko mówię. - Patrzył na nią kpiąco.

- No więc nie przejmuję się! A już na pewno nie przejmuję się tobą i... - zaplątała się - ani nikim! Wzięła głęboki oddech.

- Jeżeli zgodzisz się z nią pracować - powiedziała już spokojnie - chciałabym, żeby nie dopatrywała się w tym więcej, niż jest w rzeczywistości.

- Nie będzie.

- Skąd wiesz?

Charlie wzruszył ramionami.

- Bo jej na to nie pozwolę.

Tak samo, jak nie pozwoliłeś na to mnie? - chciała krzyknąć Cait. Ale tylko zacisnęła pięści i zachowała swoje myśli dla siebie.

- Doskonale - powiedziała. - Dziękuję.

- Nie ma za co - odparł Charlie z uśmiechem.

Po zajęciach czekał na Cait. Jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. A jeżeli będzie cierpliwy za długo, nadejdzie siedemnasty października i Cait zostanie panią doktorową. Zazgrzytał zębami.

Cait wyszła z klasy. Na widok Charliego przycisnęła torbę do piersi, skrzyżowała na niej ręce i, trzymając ją jak tarczę, włożyła klucz do zamka. - Myślałam, że już pojechałeś.

- Chciałem ci dać numer mojego telefonu komórkowego.

- Po co? - Schowała klucz do torby.

- Żebyś mogła do mnie zadzwonić, gdy Angie zacznie rodzić. Obiecałem jej, że będę wtedy z nią.

- Maddie na pewno sama da sobie radę. - Cait ruszyła do drzwi wyjściowych. - Chce tylko, żebyś przyjeżdżał na zajęcia.

Charlie zrównał się z nią i szedł, dotrzymując jej kroku.

- Chce, żebym był również przy porodzie. Już o tym rozmawialiśmy. - Podał Cait kartkę z wypisanym numerem. - Jej też dałem. Ale w rozgardiaszu, jaki wtedy nastąpi, może go zgubić.

Cait odskoczyła na bok, jakby papier mógł ją ugryźć. Ale Charlie nalegał, więc niezręcznie wzięła kartkę i wepchnęła do torby.

- Tęskniłem za tobą w tym tygodniu - powiedział. - Ale twój tato mówił, że byłaś bardzo zajęta.

- Mam mnóstwo do zrobienia przed ślubem.

To była czysta prowokacja. Słyszał ją w jej tonie. Zupełnie jakby machała czerwoną płachtą przed bykiem. Charlie już się

na nią rzucał. Ale w tym momencie nieomal poczuł, jak Chase chwyta go za kołnierz i odciąga. Wziął głęboki oddech.

- Twój tato uczy mnie zawodu kowboja - powiedział, już spokojnie.

- Słyszałam. I jestem pewna, że okażesz się bardzo użyteczny.

- Cait, taki sarkazm do ciebie nie pasuje. Parsknęła coś ze złością.

Doszli do holu, gdzie ruda recepcjonistka spojrzała na nich ciekawie.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała Cait oficjalnie. Charlie uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie. I zawsze miło mi zobaczyć się z tobą.

Cait zeszywniała.

- Charlie - ostrzegła go. - Tu chodzi o Angie.

- Nie. Wcale nie. Chodzi o nas.

- Nie ma żadnych „nas”!

Ruda recepcjonistka była coraz bardziej zaciekawiona.

- I zamierzasz się tak okłamywać aż do dnia ślubu? Prawie słyszał, jak Cait zgrzyta zębami. A już na pewno widział płomień gniewu w jej oczach. Gdyby wzrok mógł zabijać, już byłby martwy.

- Dlaczego mi to robisz? - spytała w udręce.

- Bo cię kocham. Bo ty mnie kochasz. Recepcjonistka niemal już spadała na drugą stronę biurka.

- Nie! To nieprawda!

Recepcjonistka nie musiała już nawet się wysilać, by to usłyszeć. Wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami.

- Niech to szlag! - syknęła Cait. - Zobacz, co narobiłeś!

- Co ja narobiłem? Przecież to ty krzyczysz.

- Bo ty... bo...! - Cait aż bełkotała z wściekłości.

- Bo ty mnie ciągle kochasz, ale boisz się to sama przed sobą przyznać.

Potem, żeby to udowodnić, pochylił się, przygarnął Cait do siebie, i całą swoją duszę włożył w pocałunek.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

To tyle, jeśli chodzi o słuchanie dobrych rad. Udało mu się wszystko zepsuć. Ale, do diabła, co innego mógł zrobić?

Mężczyzna nie może tak po prostu stać i pozwolić kobiecie, by popełniła największy błąd swojego życia. A ona była gotowa popełnić ten błąd.

Charlie nerwowo przemierzał niewielki pokój w chacie, która niemal się kołysała od jego rozhuśtanych emocji. Niech to diabli! Ona jest zdecydowana! Pójdzie pewnym krokiem nawą i wyjdzie za tego kardiologa, jeśli Charlie się nie wtrąci. A więc on to zrobi i niech Bóg go wspiera.

Już odrzucił całą ostrożność - i cierpliwość. Pocałował ją. Musiał ją pocałować. Żył tylko wspomnieniem i marzeniami o jednym jedynym pocałunku od chwili, gdy ją odnalazł kilka tygodni temu. Czuł jej ręce na sobie, czuł zapach jej skóry i włosów, ale nie dotknął jej tak, jak kochanek dotyka kobiety swoich marzeń. Widział jej usta, śnił o nich, pamiętał aż za dobrze słodką pokusę, jaką stanowiły. I potrzebował ich jak powietrza.

Rzucił się na twarde, wąskie łóżko i wpatrzył się w sufit. Ciągle pamiętał smak tych ust. Ciągle, po tylu godzinach, czuł je na swoich wargach. I będzie musiał żyć tym pocałunkiem Bóg wie jak długo!

- Idź do diabła! - krzyknęła Cait, a jej oczy ciskały gromy.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z holu, zostawiając Charliego i recepcjonistkę wpatrzonych w jej plecy.

W ciszy, która potem nastąpiła, dziewczyna spojrzała na niego z nieodgadnioną miną.

- Czy to coś dało? - spytała.

Charlie bardzo w to wątpił. Prawdopodobnie po prostu jeszcze raz udowodnił, jakim jest łajdakiem. Ale to dla niej nic nowego. Od dawna o tym wiedziała.

- Zmieniłam zdanie - powiedziała Cait od razu, gdy tylko Steve odebrał telefon. Trzymała słuchawkę tak, jakby to była lina ratunkowa na wzburzonym oceanie, i rzeczywiście tak było. - Z największą przyjemnością pojedę z tobą do Denver.

- Och, słucham? To ty, Cait?

Miał taki głos, jakby niezbyt dobrze wiedział, co się dzieje, i Cait uświadomiła sobie, że znów to zrobiła. Szybki rzut oka na zegar powiedział jej, że jest druga w nocy. Chodziła w kółko po pokoju całe godziny. Długi prysznic, który wzięła po powrocie do domu, wcale jej nie pomógł wykorzenić wspomnienia o ustach Charliego na jej wargach.

Przez całe zajęcia starała się unikać go wzrokiem. Nie ośmieliła się przyznać sama przed sobą, że się boi. Jednak nie jego, lecz własnej reakcji. Tego, że mimo całego swojego zdrowego rozsądku i determinacji nie będzie w stanie zwalczyć w sobie pragnienia, by z nim być. A jego pocałunek całkowicie podminował tę determinację. Spowodował, że z pożądania i tęsknoty aż odczuwała ból. Dlatego była na niego wściekła. I na siebie też!

A jeżeli zimny prysznic i siła woli nic nie pomagają, musi wezwać posiłki. A to oznacza telefon do Steve'a. Nawet nie przyszło jej do głowy, by spojrzeć na zegar. Cholera!

- Przepraszam - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. A właściwie tak wcześnie.

Usłyszała, jak ziewa.

- Nie szkodzi. Wszystko w porządku. Co się stało? Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Ja po prostu... jeszcze raz to przemyślałam. - Potarła pięścią usta, w których wciąż jeszcze czuła mrowienie. - I uznałam, że masz rację. To tam będziemy mieszkać. A tato musi od czasu do czasu zostawać sam, więc równie dobrze może zacząć już teraz.

- Amen - powiedział Steve i zaraz dodał: - Cait, naprawdę tak będzie dla niego najlepiej. Musi z powrotem nabrać zainteresowania życiem. I wrócić do pracy.

- Wydaje mi się, że czuje się coraz lepiej - powiedziała.

- Codziennie robi trochę więcej. - A wszystko, pomyślała, zgrzytając zębami, robi razem z Charliem.

- Cait, cieszę się, że ze mną jedziesz. - Steve znów ziewnął.

- Nie chciałem szukać mieszkania sam. Przecież to będzie nasz dom.

- Tak.

Nasz dom. Denver. Powtarzała sobie w myśli te słowa, próbując je zakotwiczyć w głowie.

- Wracaj do łóżka - odezwała się w końcu. - Przepraszam, że cię obudziłam. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że z tobą jadę.

- Kocham cię - powiedział Steve. - Porozmawiamy jutro.

- Ja też cię kocham - powtórzyła za nim jak papuga. Poczekala, aż odłoży słuchawkę, i dopiero wtedy zrobiła to samo.

Ale wciąż przyciskała pięść do ust.

Dzwonek telefonu komórkowego wyrwał Charliego z niespokojnego snu. W pierwszej chwili nie zorientował się, co to za dźwięk. Śniło mu się, że kocha się z Cait - i wtedy coś zadzwoniło. Jak budzik. Jak alarm.

Zerwał się z walącym sercem, przeklinał budzik, który pozbawił go jedyne go kontaktu, jaki miał z Cait. Tylko że dzwonek umilkł. A potem rozległ się od nowa.

Charlie zamruczał coś ze złością, uświadamiając sobie w końcu, co to jest. Po ciemku pogmerał wokół siebie, by wymacać marynarkę, w której miał telefon. Przez głowę przebiegały mu okropne myśli. Ogarnęła go panika. To musiał

być Chase. Albo Joanna. Żadna wiadomość przekazana w tak czarną noc nie mogła być dobra.

- Co? O co chodzi? - warknął.

- Charlie? - Głos był napięty, kobiecy. Ale dzięki Bogu nie była to Joanna.

Gdy uświadomił sobie, kogo słyszy, na chwilę popadł w szok, potem w osłupienie.

- Cait?

- Angie zaczęła rodzić.

Charlie osłupiał. Rodzi? Teraz? Ależ to za wcześnie. Miała jeszcze kilka tygodni!

- Witaj w prawdziwym świecie - zakpiła Cait. Mimo cierpkiego tonu i pozorów opanowania, Charlie słyszał w jej głosie napięcie. - Dzieci mają swój własny rozkład jazdy. Rzadko stosują się do naszego.

- Ale...

- Nie musisz przyjeżdżać. Damy sobie radę bez ciebie. Jasne, że Cait da sobie radę bez niego. I na pewno tak by wolała. Ale co do Angie nie miał takiej pewności. Na myśl o pomocy przy porodzie załapała go fala paniki. Do diabła, co on wie o porodach? Był tylko na dwóch zajęciach. Nie jest ojcem dziecka! Chodził tam tylko z powodu Cait, zdjęć, ale przecież nie dla Angie!

Z początku nie był tam dla Angie. Ale teraz...

Sięgnął po dzinsy.

- Spotkamy się w szpitalu.

Nawet gdyby miał jakieś opory - a miał ich mnóstwo, gdy jechał górską, krętą drogą do autostrady hrabstwa, potem na parking szpitala w Livingston, i jeszcze gdy pędził korytarzem do sali porodowej - rozwiały się w chwili, kiedy przekroczył jej próg.

Angie leżała na łóżku, którego przednia część była uniesiona do góry. Jej pobladła twarz prawie nie odcinała się

od białych prześcieradeł, w czarnych oczach malowało się przerażenie.

- Charlie! To nie miało być już teraz! - Niemal wyskoczyła z łóżka, by wpaść mu w ramiona. Ale była połączona z monitorem i Charlie zdążył do niej dobiec, zanim wyrwała kabel.

Zniknęła gdzieś jej twarda postawa, obojętność, udawana nonszalancja. Z całej siły objęła go szczupłymi ramionami w pasie i wtuliła twarz w jego marynarkę. Charlie objął ją, mocno przytulił, a potem jedną ręką pogłaskał po mokrych od potu włosach.

- Hej - powiedział łagodnie. - Wszystko w porządku. Właśnie na tę okazję tak trenowaliśmy.

Poczuł, jak Angie zadrżała.

- Nie jestem gotowa - szepnęła. - Jeszcze nie.

- Tak - powiedział, mocno ją ściskając. Potem odstąpił o krok i spojrzał w jej przerażone oczy. - Okazuje się, że dzieci nigdy nie robią tego, czego chcą od nich rodzice, prawda? Zaczynasz poznawać rozkosze macierzyństwa.

Na te słowa jeszcze bardziej pobladła. Charlie podłożył jej palec pod brodę i uniósł jej głowę.

- Dasz sobie radę. Po prostu bądź taką matką, jakiej sama zawsze pragnęłaś.

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową. Odzyskała trochę odwagi, ale twardość nie wróciła. Przygryzła usta.

- Boli? - spytał. Widział mnóstwo bólu, ale nigdy, oprócz filmu wyświetlonego przez Cait, nie widział, jak rodzi się dziecko.

- Nie... właściwie nie - odparła Angie.

Z tyłu rozległ się szelest kroków. Do pokoju weszły Cait i Maddie. Maddie rozpromieniła się na jego widok. Cait raz tylko na niego spojrzała, a potem skupiła uwagę na Angie.

- No, zobaczymy, jak ci idzie - powiedziała. Głos miała spokojny i łagodny. To była jedna z tych rzeczy, które zawsze w niej podziwiał - sposób, w jaki potrafiła odsunąć chaos, który często ich otaczał, i całkowicie się skupić na chorym.

Angie spojrzała nerwowo na Charliego. Uścisnął jej rękę.

- Zaczekam z Maddie na korytarzu, a potem zaraz wrócimy. Pomożemy ci przez to przejść. Wszyscy ci pomożemy.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś. Boję się o nią - powiedziała Maddie, biorąc go za rękę.

Walt mu opowiadał, że Maddie i jej mąż, Ward, od lat zajmowali się obcymi dziećmi. Poświęcili siebie i swoje ranczo dzieciom, które miały za sobą ciężkie przeżycia.

- Nic jej nie będzie. Jest silna. I zdrowa - uspokajał ją Charlie. Cait wyszła z sali i zwróciła się bezpośrednio do Maddie.

Charlie mógł dla niej w ogóle nie istnieć.

- Idzie jej dobrze. Skurcze nie są jeszcze bardzo częste, chociaż rozwarcie się powiększa i szyjka macicy jest odsłonięta. Ale to jeszcze musi potrwać.

Maddie miała wiele pytań do Cait, więc Charlie zostawił je same. Pamiętał aż za dobrze swój własny pobyt w szpitalu i wiedział, jak to jest, gdy chory zostaje sam, a krewni na korytarzu przyciszonymi głosami rozmawiają o nim z lekarzem. To go irytowało. Był też pewny, że Angie też jest przestraszona.

Była nadal blada, ale wyglądała na troszkę mniej przerażoną.

- Cait mówi, że wszystko jest dobrze - poinformowała go. W jej głosie wyczuwało się nutkę zdenerwowania, jakby nie była pewna, czy Cait ma rację.

- To samo powiedziała nam - oznajmił stanowczo Charlie. Stał obok łóżka, a gdy zobaczył, że niespokojnie szarpie

kołdrę, wziął ją za rękę. Jej palce zacisnęły się wokół jego dłoni i tak pozostały.

Do pokoju wróciła Maddie.

- Charlie, weź sobie krzesło - powiedziała rażno - i przysuń drugie dla mnie.

Gdy spełnił jej prośbę, zaniósł krzesło pod okno i zabrała się do robótki na drutach.

- To koczyk dla dziecka - oznajmiła. - Muszę się z nim bardzo pospieszyć, bo jeszcze sporo mi zostało do zrobienia.

- Nie musisz tu siedzieć - mruknęła Angie.

Maddie spojrzała na nią ponad oprawką swoich połówkowych okularów.

- A gdzie indziej miałabym być?

Angie machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

- Jesteś zmęczona... a musisz zadbać o bydło. - Zawahała się, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale nie zdążyła.

- Nie ma nic ważniejszego niż ty - przerwała jej Maddie.

- Przed wyjściem z domu zadzwoniłam do Jonesa Taggarta. Przyśle paru ludzi, żeby zajęli się gospodarstwem. - Uśmiechnęła się. - Dobrze jest mieć przyjaciół. Zawsze ci pomogą.

Angie spojrzała na Charliego. Odczytał z jej miny, że nigdy nie miała przyjaciół. On także nie, póki nie poznał Chase'a i Joanny.

- Teraz ty też będziesz miała wokół siebie bliskich ludzi - zapewnił ją.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosiła, przypominając mu, że podczas zajęć jej to obiecał.

Zaczął mówić. Niewiele ukrywał. To będzie dobra praktyka, pomyślał, w razie gdyby Cait jeszcze kiedykolwiek pozwoliła mu na zwierzenia. Dawniej nie chciał, by ktoś go rzeczywiście poznał. Nawet Cait nigdy nie pozwolił za bardzo się do siebie zbliżyć. A przecież miłość oznacza dzielenie się,

otwieranie się i wrażliwość, przynajmniej wobec ludzi, których się kocha. Teraz już rozumiał, dlaczego mu nie ufa. Jak można ufać komuś, kto nie ufa tobie?

Opowiedział Angie o swoim ojcu, matce, o Lucy. Mówił o Chasie i Joannie, i o tym, że to oni tak naprawdę ocalili mu życie.

- Oni tak na to nie patrzą - powiedział. - Ale też nie wiedzą, jak bliski byłem przejścia przez krawędź.

- Mnie czasami się wydaje, że już stoję na samym skraju - szepnęła Angie drżącymi ustami.

- Ale nie spadniesz - zapewnił ją. - Nie spadniesz, jeżeli tylko powiesz sobie, że nie możesz. I ja też ci na to nie pozwolę.

Ale nawet w chwili, gdy jej to obiecywał, rozumiał, jak bardzo bezsilni musieli się czuć Chase i Joanna. Gdy był nastolatkiem, raz za razem rzucali mu linę ratunkową, ale nigdy nie zdołali go zmusić, by ją chwycił. To on musiał tego chcieć, musiał odpowiedzieć na ich troskę, wyciągnąć do nich rękę.

Uśmiechnął się do Angie, gdy zeszywniała od nowego skurczu.

- Charlie, one są coraz silniejsze.

- Okay, bierzemy się do roboty.

Cait często sprawdzała, jak postępuje poród, chociaż nie przebywała cały czas w sali. Zauważyła bowiem, że rodzące chciały ją mieć w pobliżu, ale nie życzyły sobie, żeby cały czas nad nimi stała. Miały wtedy wrażenie, że ona się niecierpliwi i tylko czeka, aż wszystko się skończy, że z ich winy traci czas.

Poza tym, był tu Charlie. Cait nie chciała przebywać z nim w jednym pokoju. Z początku myślała, że przyjechał tylko po to, by zrobić jej na złość, wprawić ją w jeszcze większe



zakłopotanie, ale okazało się, że nie miała racji. Całą uwagę poświęcał Angie.

I zanim wszystko się skończyło, musiała przyznać, że dobrze, że był tutaj. Dzięki niemu Angie opanowała się. Dzięki niemu skoncentrowała się na tym, co ma robić. Mówił do niej niemal bez przerwy cichym, łagodnym tonem, tak cicho, że Cait właściwie go nie słyszała, nawet gdy podchodziła do łóżka. A Angie słuchała go bardzo uważnie.

Gdy skurcze stały się silniejsze i częstsze, stanął przy Angie i pozwolił jej z całej siły ścisnąć się za rękę. Cały czas do niej mówił, coś szeptał, uspokajał ją, dodawał odwagi, zmuszał, by robiła to, czego życzyła sobie Cait.

- Nie mogę! - krzyknęła Angie w pewnej chwili. - Och, Boże! Och! Och!

- Angie, oddychaj spokojnie - nalegał Charlie. - Współpracuj.

Cait widziała ich złączone ręce, ich wpatrzone w siebie nawzajem oczy. Odnajdywała w Charliem takiego mężczyznę, jakim, wierzyła, że może być, mężczyznę, którego wtedy chciała poślubić. Ale teraz musiała odebrać poród. Nie mogła sobie pozwolić na myślenie o czymś innym.

- Angie, przyj! Jeszcze raz - nakazała. - Gdy poczujesz skurcz, przyj. Doskonale. Teraz.

Dziewczyna wykrzywiła się, twarz miała czerwoną i spoconą, kostki palców, splecionych z rękami Charliego, aż jej pobielwały z wysiłku.

- Nie m - m - mogę... jest! - krzyknęła, gdy mokre, wydające ciche piski niemowlę wyśliznęło się na świat.

Cait chwyciła dziecko i tuliła, jak zawsze zachwycona tym cudem nowego życia. Angie się rozplakała. Maddie promieniała.

- Och, czyż nie jest cudowna? Czyż nie jest prześliczna?

A Charlie tylko patrzył, na jego twarzy malowała się wprost religijna cześć. Po chwili opanował się i cmoknął Angie w czoło.

- Doskonale się sprawiłaś, dzieciaku - szepnął.

Cait pozazdrościła Angie tego pocałunku bardziej, niż skłonna była to sama przed sobą przyznać.

Denver. Musiała pojechać do Denver. Gdy już tam będzie - a nawet w czasie drogi - zacznie patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. Będzie widziała Steve'a, a nie Charliego.

Nie była całkowicie pewna, w jakiej dokładnie chwili uświadomiła sobie, że to nie zadziało. A może wiedziała o tym już wcześniej, zanim jeszcze Steve po nią przyjechał w piątkowy wieczór?

Uściskała tatę, pocałowała go i obiecała, że po powrocie, w niedzielę wieczorem, będzie mu miała mnóstwo do opowiedzenia, a potem nawet całkiem chętnie wsiadła do samochodu Steve'a. Nie przyjęła do wiadomości wyrazu zmartwienia, malującego się na twarzy ojca.

- Jestem pewna, że Charlie tu do ciebie wpadnie, kiedy mnie nie będzie - powiedziała, gdy odjeżdżali.

I rzeczywiście, była pewna, że będzie wpadał. Prosiła go o to. Poinformowała go, że wyjeżdża, gdy spotkała się z nim w pokoju Angie dziś po południu.

Powiedziała:

- Och, tak przy okazji, byłoby wspaniale, gdybyś mógł podczas tego weekendu wstąpić do mojego taty.

Charlie zamrugał. Uśmiechnął się tym swoim przyprawiającym o bicie serca uśmiechem. Widocznie pomyślał, że zmieniła zdanie, jednak chce się z nim widywać, i teraz wybrała taką okrężną drogę, by mu o tym powiedzieć. Tak więc bezlitośnie wyprowadziła go z błędu.

- Bo Steve i ja jedziemy dziś wieczorem do Denver, poszukać mieszkania.

Uśmiech zamarł. Ucieszyła się, chociaż jej radość była zmieszana z gniewem. I teraz nadal czuła gniew.

- Kto to jest Charlie? - spytał Steve.

- To nowy robotnik mojego ojca - wyjaśniła Cait krótko. O to też była zła. Z osłupienia aż odebrało jej mowę, gdy ojciec powiadomił ją, że zatrudnia Charliego.

- Charlie będzie u ciebie pracował? - spytała, gdy już odzyskała głos. - Po co?

- Żeby mi pomagać.

- On nie jest kowbojem!

- Wykopanie dołu na słupek do ogrodzenia to żadna sztuka - powiedział ojciec pobłażliwie. - I jest cholernie dobrym jeźdźcem. Ma bystre oko. To pewnie dlatego, że jest fotografem. Ale mniejsza o to. Mężczyzna po prostu musi od czegoś zacząć.

Ale Cait nie rozumiała, dlaczego Charlie w ogóle chce zaczynać coś nowego. Na litość boską, przecież jest fotografikiem, a nie jakimś nędznym poganiaczem bydła! Rzuci to w kilka dni. - Powinnaś się cieszyć - przekonywał ją ojciec. - Do diabła, kotku, sama przecież mówiłaś, że jesteś przepracowana. Że potrzebujesz więcej czasu na szpital.

- Tak, ale...

- Więc zatrudniłem Charliego i będziesz miała czas na swoją pracę.

Teraz Cait wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z głowy myśli o Charliem. Steve nacisnął na pedał gazu. Pojechali.

Kilometry uciekały im spod kół, a Steve mówił: o Denver, o nowej pracy, którą niedługo podejmie, o szpitalach, w których przedtem pracował, o sąsiedztwie, jakie chciałby mieć, i o dzielnicach, w których powinni sobie szukać mieszkania.

Cait nie odezwała się ani jednym słowem. Myślała o ojcu. Myślała o Angie i jej dziecku. Angie dała córeczce na imię Charlene, na cześć Charliego.

Próbowała nie zastanawiać się za wiele. Próbowała nie myśleć o tym. O nim. O Charliem. Ale to było trudne. Droga się dłużyła. Jednym uchem słuchała Steve'a, który opowiadał o swojej pracy. Nie interesowało jej to. Nie interesowało jej Denver. Nie obchodziło, gdzie będą mieszkać. Ciągle myślała o Charliem. Od niczyjego widoku serce nie zamierało jej w piersiach tak, jak na jego widok.

Nie mogła przestać o nim myśleć. Nawet następnego dnia, kiedy Steve pokazał jej szpital i zapoznał ją z lekarzami, z którymi będzie współpracował. Próbowała zapamiętać ich nazwiska, próbowała uśmiechać się i zachowywać uprzejmie i przyjacielsko. Ale czuła się rozpaczliwie nie na swoim miejscu. Jakby jej ciało było tutaj, ale umysł i serce zupełnie gdzie indziej.

Z Charliem. Cholerny Charlie!

Nie chciała tego do niego czuć. Nie ufała mu. Pragnął jej - tak powiedział; powiedział nawet, że ją kocha, ale co to właściwie dla niego znaczyło? Że chce ją mieć w swoim łóżku. Chciał być w jej łóżku. Chciał tego, co mieli w Abuku. Powiedział, że chce ją mieć na całą wieczność, na zawsze, ale jak mogła mu wierzyć?

I dlaczego właściwie ona też miałaby tego chcieć? Miała przecież Steve'a! Kochała Steve'a! Ale w głębi duszy wiedziała, że nie może za niego wyjść. Nie teraz, gdy jej uczucia tak się splątały. Tyle że nie mogła mu tego ot tak, prosto z mostu powiedzieć.

Tak więc na razie poddała się okolicznościom. Całą niedzielę uśmiechała się i uprzejmie się witała, grzecznie rozmawiała z lekarzami i dyrektorami szpitali, których Steve jej przedstawiał. Tak samo zachowywała się wobec Annette,

kobiety z agencji nieruchomości, która pokazała im z pół tuzina mieszkań i tyle samo domów.

- No i jak, coś ci się spodobało? - pytał Steve.

- A tobie? - wykręciła się od odpowiedzi.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa - powiedział. - Ty decyduj. Cait bezradnie pokręciła głową.

- Nie wiem. Chyba musimy... porozmawiać.

Tego wieczoru podczas kolacji próbowała ubrać w słowa to, co czuje.

- Myślę, że musimy... trochę poczekać - powiedziała.

- Poczekać? - zdumiał się. - Chodzi ci o decyzję co do mieszkania? Niech tak będzie. Nie mam nic przeciwko temu. Wiesz o tym. Po prostu myślałem, że może nie warto dwa razy się przeprowadzać. Ale na razie możemy coś wynająć. Zadzwoń do Annette i...

- Nie miałam na myśli mieszkania. Chodziło mi o ślub. Steve zastygł z widelcem w połowie drogi do ust.

- O ślub?

Cait bezradnie wzruszyła ramionami.

- Ja... po prostu nie mogę się na nic zdecydować.

- W związku ze mną?

- Nie! Chodzi o mnie! - powiedziała z rozpaczą. - Nie o ciebie. Nie wiem, co mam robić!

Steve powoli pokiwał głową. Na jego czole pojawiła się bruzda.

- Z czym?

- Z... życiem. Z... miłością. Z tym... czego pragnę.

Zabrzmiało to strasznie głupio i płytko. Poczuli się jak dziecko, źle wychowane, egoistyczne. Ale co innego mogła mu powiedzieć? Tak wyglądała prawda.

- Byłam taka zapracowana. Martwiłam się o ojca. Nie miałam czasu na myślenie. A teraz od razu całe to planowanie

i ja... po prostu... nie wydaje mi się, żebym była na to gotowa... już teraz - lawirowała rozpaczliwie.

- Ach. - Czoło Steve'a wygładziło się. Lekko się uśmiechnął. - Przedślubna trema, co?

- Tak! - Cait z radością chwyciła się tego wyjaśnienia. Ale potem pokiwała głową. - Coś w tym rodzaju. - Bo uczciwość wymagała czegoś więcej. Nie chciała mówić o Charliem, ale przecież musiała dać narzeczonemu do zrozumienia, że chodzi o coś więcej. - Przepraszam, Ja... po prostu nie czuję się gotowa. I nie mogę wyjść za ciebie, póki tak będzie. Rozumiesz mnie?

Jak mógłby ją zrozumieć? To, co mówiła, nie miało żadnego sensu.

Ale Steve skinął głową.

- Chyba tak.

Zacisnęła usta w grymasie odrazy do siebie samej.

- Przepraszam cię. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, póki tu nie przyjechaliśmy. A wtedy to się stało takie... rzeczywiste. Ja... - zamilkła i zaczęła ściągać pierścienek zaręczynowy. - Proszę. Nie możesz być związany narzeczeństwem z kobietą, która sama nie wie, czego chce.

Ale on sięgnął przez stół i przytrzymał jej rękę.

- Nie. - Jego oczy, o zimnym odcieniu błękitu, rozjaśniły się lekkim uśmiechem. - Zatrzymaj go,

- Ale...

- Noś go - powiedział Steve. - Chcę, żebyś go miała. W końcu dojdiesz do ładu ze sobą. Dla nas obojga tak będzie lepiej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ostatnio dużo myślałem o Wietnamie - odezwał się Walt. Razem z Charliem przeprowadzali stado po stoku, na niżej położone pastwisko.

- Uhm, tak. - Charlie nie myślał o Wietnamie. Ledwo słuchał Walta. Jego myśli zaprzętało co innego: córka Walta, którą ostatnio widział wczoraj po południu.

Nie obdarzyła go ani jednym spojrzeniem. Przyszła do pokoju Angie, rozmawiała z Angie - i z Maddie. Do niego się nie odezwała. Nie odezwała się do niego od trzech dni, od chwili gdy po telefonie wzywającym go do szpitala odłożyła słuchawkę. Wszystkie swoje uwagi kierowała do innych ludzi, nawet wtedy, gdy to on był ich adresatem.

- Na pewno chciałabyś possać lód - mówiła na przykład do Angie.

A znaczyło to: „Przynieś jej trochę lodu”. Gdy Angie wczoraj wychodziła ze szpitala, on też tam był. Cait zasypała ją pochwałami i dobrymi radami. A potem dodała:

- W każdej chwili do mnie dzwoń, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. Tylko w czasie najbliższego weekendu musiałabyś się skontaktować z doktorem Ferrisem, bo ja wyjeżdżam.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Charlie. Ale ona mu nie odpowiedziała.

- Do zobaczenia - powiedziała tylko. - Postaram się wpaść do was na rancho w przyszłym tygodniu. - I wyszła, nie obdarzając go ani jednym spojrzeniem.

Teraz wiedział, że pojechała do Denver. Powiedział mu o tym Walt, gdy przyszedł wczoraj wieczorem zawiadomić go, że następnego rana będą przeprowadzać stado.

- Chodź do mnie na kolację - zaprosił. - Caity nie będzie przez cały weekend - mruknął ze złością. - Ona i Steve

pojechali do Denver. Chcą poszukać sobie mieszkania. - Walt nie wydawał się tym zachwycony.

A Charliemu podobało się to jeszcze mniej. W nocy prawie nie spał. Myślał o tym, że Cait spędza noc ze Steve'em. W głowie wirowały mu wspomnienia jego nocy z Cait. Przeżywał od nowa każdy cudowny, czuły, pełen napiętości moment. I tęsknił aż do bólu. Gdy rano, koło szóstej, Walt po niego przyjechał, już niemal obgryzał paznokcie. Walt nie wydawał się bardziej wypoczęty niż Charlie. Miał puste spojrzenie, jego siwiejące włosy wymykały się potarganymi kępkami spod runda kapelusza, na policzkach miał dwudniowy zarost.

- Dobrze się czujesz? - spytał Charlie. Bał się, że Walt dostanie ataku serca gdzieś tu, na odludziu.

- Źle spałem - wyjaśnił mu Walt.

I zaczął opowiadać o wszystkim, o czym ostatnio myślał. Wietnam, Wietnam, Wietnam...

Charlie miał nadzieję, że tej nocy zaśnie, zamiast we frustracji obijać się od ściany do ściany. Po dniu konnej jazdy czuł się porządnie zmęczony. Powinien paść na łóżko i zasnąć jak kłoda. Odmówił, gdy Walt go zapraszał na kolację, i pojechał do miasta, żeby kupić coś do picia. Wyobrażał sobie, że weźmie to do chaty, wypije i zaśnie. Ale skończył wieczór, wściekle przemierzając mały pokój. Gdy wreszcie uznał, że ma dość własnego towarzystwa, pojechał do Brenny i Jeda. Jeżeli zdziwili się, widząc go na swoim progu o dziesiątej wieczorem, nie dali tego po sobie poznać.

- Ach, posiłki! - zawołała Brenna, nawet jakby z ulgą. - Wchodź, wchodź - i wpakowała mu w ramiona marudzące niemowlę.

Chłopczyk miał na imię Hank. W porównaniu z noworodkiem Angie wydawał się duży. Charlie nerwowo chwycił go na rękę.



- Co mam robić?

- Spaceruj z nim - powiedziała Brenna. - My to robimy od wielu godzin.

Ze znużeniem padła na kanapę obok Jeda i uśmiechnęła się do Charliego z wdzięcznością.

- Dobrze - zgodził się Charlie. Przecież to samo robił w swojej chacie.

Jed wstał i przyniósł mu piwo. Charlie, z Hankiem na jednej ręce i puszką piwa w drugiej, ruszył wokół pokoju. Coś w jego kulejącym chodzie musiało uspokoić dziecko, bo wkrótce wygodnie się rozparto na jego ramieniu i zasnęło.

- Ma dobry wpływ na niego - powiedział Jed z szacunkiem,

- Czy Hank może zamieszkać z tobą w chacie? - spytała Brenna.

- Mnie by to nie przeszkadzało. Ale on chyba by nie chciał. Jed i Brenna wymienili spojrzenia.

- Dopadł cię instynkt gniazdowania? - zaśmiała się Brenna.

Charlie wzruszył ramionami. Nie zamierzał się do tego przyznawać. I nie potrzebował niczyjej litości tylko dlatego, że kobieta, której pragnął, pojechała do Denver z innym.

Brenna chyba to wyczuła. Nie nalegała. Odczekała jeszcze chwilę, póki nie stało się jasne, że Hank śpi jak suseł. Wtedy zaprowadziła Charliego na górę, do pokoju dzieciennego.

- To będzie prawdziwy test twojej mocy - powiedziała. - Możesz położyć go do łóżeczka tak, żeby się nie obudził?

Położył Hanka, dziecko lekko się wstrząsnęło, ale nie otworzyło oczu.

- Jesteś cudotwórcą - szepnęła Brenna.

Gdy zeszli na dół, Jed popatrzył na niego z szacunkiem.

- Prawdziwy geniusz - stwierdził.

Charlie siedział u nich jeszcze grubo po północy. Rozmawiał z Brenną o jej nowej wystawie w galerii Gaby, która miała się odbyć na jesieni. Rozmawiał z Jedem i Otisem o bydle i o tym, jak z Waltem przeprowadzał dziś stado. Rozmawiał z Tuckiem o porsche i podziwiał rysunki chłopca. Tak było o wiele lepiej niż obijać się w chacie i wyobrażać sobie Cait i Steve'a w jakimś motelu w Denver. Lubił towarzystwo i rozmowy. Czuł się tu dobrze. Jak w domu.

Chciał... Chciał tu zostać.

Nie u Jeda i Brenny, lecz w Elmer. W dolinie. Tutaj. W tej społeczności. Z tymi ludźmi.

Z Cait.

Spał niespokojnie. Śnił rozpaczliwe sny. Obudził się wymęczony.

Niedziela była jeszcze gorsza. Walt zadzwonił i powiedział, żeby sam sprawdził ogrodzenia. A on bez towarzystwa mógł myśleć tylko o Cait. Dziś wraca. Jutro zjedzie na dół i zobaczy się z nią. Ale co zrobi, jeżeli ona i Steve już wpłacili zadatek na dom czy mieszkanie? Czy ma ją siłą odciągać od Steve'a? Czy leż lepiej dokonać taktycznego odwrotu?

Te sprawy musiał dziś przemyśleć. Nie wierzy! w skuteczność odwrotów. Ale z drugiej strony, nie chciał też unieszczęśliwić Cait.

Skończył pracę o piątej po południu i wrócił do chaty. Rozkulbaczył jucznego konia, odłożył na miejsce drut i słupki, potem rozsiadł konia, na którym jechał, i oba wypuścił na pastwisko. Robił wszystko automatycznie. Zajmowanie się końmi i naprawianie ogrodzeń zaczynały się stawać jego drugą naturą. Cisza mu już nie przeszkadzała. Zresztą wcale nie było tu aż tak cicho. Słyszał ptaki, koniki polne, szmer wiatru wśród liści drzew.

Mnóstwo znajomych nie uwierzyłoby, że to on, Charlie Tropiący Łosie, gdyby go teraz zobaczyli. Ale on wiedział, że to dobre miejsce dla niego. Lepsze dla człowieka, którym się stał, niż powrót do fotografowania wojen.

Tak, mógłby się do tego przyzwyczaić. Mógłby pokochać to miejsce i nigdy stąd nie wyjechać. Gdyby tylko miał Cait.

Zapadł już zmierzch, gdy usłyszał silnik pikapa Walta.

Charlie właśnie parzył kawę. Biorąc pod uwagę nieomylny instynkt Walta i jego uwielbienie gatunku jawa, doszedł do wniosku, że staruszek musiał usłyszeć puknięcie, gdy otwierał nową puszkę. No i dobrze. Chętnie by z kimś pogadał. Nie odezwał się do nikogo od chwili, gdy dziś rano Walt odłożył słuchawkę.

Może Cait wróciła. Może Walt przywozi jakieś wiadomości. Charlie poczuł, jak wszystko wewnątrz mu się zaciska. Wyjął drugi kubek, postawił go na stole i wyszedł na próg.

Powoli gasło ostatnie światło dnia. Po wschodniej stronie pikap wziął zakręt i Charlie zobaczył blask reflektorów. Stał, opierając się jedną ręką o framugę, i czekał. W końcu samochód zatrzymał się, silnik zamarł. Drzwi się otworzyły.

- Kawa gotowa! - zawołał Charlie. - Musisz mieć uszy jak słoń - dodał, gdy z pikapa ktoś wysiadł.

- Dziękuję ci bardzo - usłyszał cierpką odpowiedź, rzuconą zdecydowanie kobiecym głosem.

Charlie zamarł.

- Cait?

To był zły pomysł. Bardzo zły. Pomysł zrodzony z desperacji i nerwów. Ale tylko na taki pomysł Cait mogła się zdobyć, więc go zrealizowała. A teraz nie mogła się już wycofać. W chwili gdy przejechała przez bramę i zaczęła wjeżdżać na wzgórze, wiedziała, że osiągnęła punkt, z którego nie ma powrotu.

Zbyt długo żyła w przedsionku piekła. Musi wreszcie podjąć taką czy inną decyzję. Dalej nie może tak być.

To wina Charliego, mówiła sobie. Tak więc Charlie musi teraz pomóc jej tę decyzję podjąć. Wzięła głęboki oddech i stanowczym krokiem podeszła do niego.

- Tak - oznajmiła. - To ja.

Była wystarczająco blisko, by widzieć jego radosny uśmiech. Nie chciała, żeby był szczęśliwy, żeby cieszył się na jej widok, by witał ją z otwartymi ramionami.

- Witaj - powiedział, nadal się uśmiechając. Ale gdy nie odwzajemniła uśmiechu, jego twarz stopniowo poważniała, brwi mu się ściągnęły. - Co się stało? Coś złego z Waltem?

- Co takiego? Nie. Oczywiście, że nie. Ja... - Przeczesała palcami włosy. Wydawało jej się, że w ciągu ostatniej godziny zrobiła to już z tysiąc razy. - Nie ma go nawet w domu. Nie wiem, gdzie poszedł.

- Więc... co takiego? - Charlie wydawał się teraz zmartwiony. I dobrze. Miała już dość tego, że tylko jej życie toczy się bez żadnej kontroli.

Wpakowała ręce do kieszeni dzinsów i zastanawiała się, jak zacząć. Po prostu to z siebie wyrzucić? Czy może lepiej dojść do sprawy podczas spokojnej rozmowy?

- Napiję się tej kawy - powiedziała. Charlie zamrugał, a potem skinął głową.

- Wejdz do chaty. - I poszedł pierwszy.

Pokój wydawał się jeszcze mniejszy niż tego dnia, gdy przyjechała z lodem. Wtedy wypełniał go Charlie. Teraz miała wrażenie, że jest tu tylko łóżko. Gwałtownie odwróciła od niego wzrok.

Charlie nalewał kawę do dwóch kubków. W dzinsach i granatowej koszuli z długimi rękawami, z czarnymi włosami, które opadły na czoło, wyglądał zdrowo i atrakcyjnie, i tak,

jakby w tym otoczeniu czuł się dobrze; tak, jakby tu pasował, jakby to był jego dom.

Poprzednio pomyślała, jak bardzo jest tu nie na miejscu. Ale nie dziś. Chata odcisnęła na nim swoje piętno. To ją zdziwiło. I zakłopotало. Chciała, by wszystko tu znieawidził i wyjechał.

Dolewał właśnie mleko do jednego kubka. Jej kubka. A potem go jej podał.

- Proszę.

- Dziękuję. - Uważała, by ich palce się nie dotknęły. Kubek był gorący, ale dawał jej jakiś punkt zaczepienia, coś, czego mogła się trzymać, zanim się pozbiera.

Charlie był opanowany, spokojny. Oparł się biodrem o zlew i popijał kawę, przyglądając się Cait. Ona wpatrywała się w swoją kawę. Potem rozejrzała się po pokoju. Przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, głęboko odetchnęła i próbowała znaleźć właściwe słowa. W końcu podniosła wzrok.

- Chcę iść z tobą do łóżka.

Spokój Charliego prysł w jednej chwili. Kawa wylała mu się na rękę. Szybko zamrugał, na policzkach pojawił mu się szkarłatny rumieniec. Otworzył usta, ale przez kilka sekund nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czuł się tak, jakby walnęła go pięścią w splot słoneczny. Wreszcie głos mu wrócił.

- Chodź - i uśmiechnął się. Był to ciepły uśmiech, cudowny uśmiech. Uśmiech ulgi i radości.

Cait nie mogła na to patrzeć. Wzięła kubek w obie ręce i ruszyła.

- Nie o to mi chodziło - mruknęła. Charlie wstrzymał oddech.

- A o co? - Głos miał spokojny. Ale nawet nie patrząc na niego, wiedziała, że jego uśmiech zamarł.

Odwróciła się dopiero, gdy doszła do ściany i była do tego zmuszona. Z irytacją wzruszyła ramionami.

- Chodziło mi o to, że musimy omówić pewne sprawy... oczyścić atmosferę.

- Jakie sprawy? Jaką atmosferę?

- Między nami! - Cait przejechała ręką po włosach. - Między nami! To mnie doprowadza do szaleństwa. Nie mogę... nie mogę myśleć! Nie mogę dojść z niczym do ładu! W czasie tego weekendu próbowałam razem ze Steve'em znaleźć dla nas dom. I... i ciągle myślałam o tobie!

- Ot, przykrość - powiedział sucho Charlie.

- Tak, masz rację. To przykre! - krzyknęła Cait. - Tak nie powinno być! Nie powinnam tego czuć wtedy, gdy wychodzę za kogoś innego!

- Więc może nie powinnaś iść do ślubu z kimś innym. Niech go szlag! Czy musi być taki cholernie racjonalny?

- Nie wiem, co powinnam zrobić! - krzyczała. - Nie rozumiesz?

Nie czekała na jego odpowiedź. Znow zaczęła przemierzać pokój. Wreszcie wzięła głęboki, uspokajający oddech, zatrzymała się i znow stanęła odwrócona do niego twarzą.

- Powiedziałam Steve'owi, że nie mogę za niego wyjść, skoro czuję to, co czuję. Powiedziałam mu, że muszę dojść ze sobą do ładu. I wydaje mi się, że to jedyny sposób, w jaki mogę to zrobić.

- Idąc ze mną do łóżka?

- Tak. Wtedy chyba wreszcie uwolnię się od ciebie. Tobie też to może dobrze zrobić.

- Doprawdy? - Charlie uniósł brwi.

- Tak - nalegała. - Bo ty też uwolnisz się ode mnie. Tylko na nią patrzył. I oto tu była, stała przed nim i ofiarowywała mu siebie - bez żadnych warunków.

Weź mnie do łóżka. Czy można to było sformułować jeszcze wyraźniej?

Ale Charlie przecząco pokręcił głową. Błady, smutny uśmiech pojawił się w kąciku jego ust tylko na chwilę, a potem zgasł.

- Cait, nie chcę się uwolnić od ciebie - powiedział spokojnie. - Kocham cię. Zawsze będę cię kochać. Więc dziękuję ci bardzo za propozycję, ale moja odpowiedź brzmi: nie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chyba musi dać się zbadać psychiatrze! Na miłość boską, ona właśnie z własnej woli zaproponowała, że pójdzie z nim do łóżka, a on odmówił. Zupełnie, jakby tego tak bardzo nie pragnął! Jakby nie była to rzecz, o której marzył i śnił od chwili, gdy wrócił ze swojego spotkania z wiecznością.

Teraz zrozumiał stare powiedzenie: „Uważaj, czego pragniesz, bo może się spełnić”. Zrozumiał je, gdy stała tu, przed nim, i zaoferowała mu siebie, a on nie mógł tego przyjąć.

To już by mu nie wystarczyło. Pragnął czegoś więcej niż tylko ciała Cait. Chciał miłości.

Ale nie to mu oferowała, a on o tym wiedział. Tak więc stali twarzą w twarz i wpatrywali się w siebie. Te chwile wydały mu się jeszcze jedną wiecznością, ale na pewno trwały zaledwie kilka sekund. A potem - gdy Charlie powiedział: „nie, dziękuję, ale nie” - odwróciła się i wyszła z chaty.

A teraz stał i patrzył na oddalające się tylne światła jej pikapa, który zjeżdżał z góry. Rękę zacisnął tak mocno na framudze drzwi, że chyba przeorywał paznokciami drewno. Przez długą chwilę nie mógł się ruszyć. Był jak zamrożony, dosłownie zmrożony wewnątrz.

- Nic na to nie możesz poradzić - powiedział sobie spokojnie na głos.

Tylne światła zniknęły za zakrętem. Odgłos silnika był coraz cichszy.

Charlie czekał. Nasłuchiwał. Ale minęło kilka minut i, nawet wyęzając uwagę, już nic nie słyszał. Stał samotny w tej ciszy. Powoli puścił framugę. Ręce mu drżały. Zacisnął je w pięści i wpakował do kieszeni. Gardło miał ściśnięte tak, że aż bolało. Z trudem udało mu się przełknąć ślinę. Oczy go paliły. Zamknął je. Zacisnął zęby, by przełknąć ból. I stał tak, sztywno, zwalczając żal.



Ale była to walka, której nie spodziewał się wygrać. Wszystko się skończyło. Był na tyle uczciwy, na ile go było stać.

Cait odeszła.

To tyle, jeśli chodzi o złe pomysły. Już nic gorszego nie mogła wymyślić. Teraz miała tylko ból, wstyd, upokorzenie. A na dodatek wiedziała, że sobie na to zasłużyła.

Emocje napływały falami. Najpierw złość. Nie mogła uwierzyć, że odmówił. Jakby proponowała mu kawałek szarlotki na deser. Powiedział to spokojnie, uprzejmie, ale właściwie dał jej odprawę. Był tak obrzydliwie uprzejmy!

„Dziękuję, pani Blasingame, ale nie chcę iść z panią do łóżka”. Twarz ciągle jeszcze ją paliła, gdy sobie to przypominała. Gdy poprzednio Charlie ją odepchnął, zrobił to bez jednego słowa. Po prostu wstał w środku nocy i wyszedł.

Tym razem, jak ostatnia idiotka, sama się o to prosiła. Ofiarowała mu swoje ciało, a on ją odepchnął. Kiedy ona wreszcie zmądrzeje?

A potem nadszedł ból. Z początku ból odrzucenia. Potem ból wstydu i upokorzenia. Te właśnie uczucia wypchnęły ją z chaty, kierowana nimi pobiegła do samochodu i odjechała. Te uczucia szarpały jej serce i duszę, i umysł, gdy wymyślała sobie od ostatnich idiotek. Z powodu tych uczuć całą noc nie spała. Miotła się po ciemnym pokoju i co chwilę przeżywała od nowa to rozpaczliwie upokarzające spotkanie z Charliem.

I płakała. Opłakiwała swoje marzenia. I to, że pragnęła mężczyzny, który jej nie chciał.

Potem, gdy noc rozjaśniły pierwsze przebłyski świtu, łzy wyschły, a ona leżała cicha i nieruchoma i wpatrywała się w sufit. I wtedy zdała sobie sprawę, że jej głupota była jeszcze większa, niż z początku jej się wydawało. Charlie odmówił nie po to, by ją upokorzyć, albo nawet zadać ból. Nie wziął jej do

łóżka, bo naprawdę ją kocha. Jej usta zaczęły drżeć. Wzrok się zamglił, łzy znów popłynęły.

- Okropnie wyglądasz - zauważył Steve, gdy wreszcie znalazła go w poniedziałek późnym popołudniem.

Leżała, nie śpiąc do świtu, bolejąc i płacząc nad sobą - i swoją głupotą - i nad mężczyzną, którego straciła, wypierając się uczuć, których się bała.

Nie było powodu, by dłużej nosić pierścioneł Steve'a. Bez sensu byłoby zachowywać choć okrucieł nadziei, że mają przed sobą jakąś przyszłość. Ale akurat gdy pomyślała, że powinna do niego zadzwonić, odezwał się jej telefon. Wzywała ją pacjentka, która właśnie zaczęła rodzić, potem jeszcze jedna. Spotka się ze Steve'em później.

Dobrze się złożyło, że miała tyle pracy, bo myślałaby wyłącznie o Charliem. No, ale przynajmniej teraz już wiedziała, co robić. Przestała się dziwić, dlaczego ciągle o nim myśli, mimo że postanowiła wyjść za Steve'a. Myśli o nim, bo nadal go kocha.

Charlie miał rację, a ona się myliła. Straszliwie, okropnie się myliła. Tak, nareszcie to zrozumiała, ale co jej teraz z tego przyjdzie?

- Bo też czuję się okropnie - wyjaśniła Steve'owi szczerze, gdy wreszcie się spotkali. Próbowala się uśmiechnąć, ale usta nie chciały jej słuchać.

- Co się stało? Czyżby twój tato zachorował?

Wszyscy myśleli, że Cait ciągle martwi się o ojca. Ale Charlie pomógł mu wyjść z depresji.

- Nie, nie chodzi o ojca - powiedziała. - Chodzi o mnie. - Zdjęła pierścioneł i położyła go na otwartej dłoni. - Nie mogę za ciebie wyjść.

- Nigdy?

Skinęła głową, tylko raz.

- Co ja takiego... - zaczął, ale mu przerwała.

- To nie ty. To ja. I jeszcze ktoś - dodała. Uznała, że musi być szczerą, bo Joyce z recepcji widziała tamten pocałunek. Joyce słyszała, jak Cait kłóciła się z Charliem. Nie chciała, by Steve dowiadywał się z plotek o sprawach, o których ona nie miała odwagi mu powiedzieć.

- Kto? - spytał Steve.

- Mężczyzna, którego kiedyś znałam. Myślałam, że wszystko między nami skończone, ale tak nie jest.

- Wrócił tu do ciebie?

- Próbował - odparła Cait. - Odepchnęłam go. Ale wtedy zdałam sobie sprawę...

Steve skrzywił się.

- I teraz chcesz być z nim. Cait pokręciła głową.

- Nie. Teraz jestem całkiem pewna, że on mnie nie chce.

- Wiec...

- Steve, nie kocham cię tak, jak powinnam. Zrozumiałam to, kiedy go zobaczyłam. Tylko bym cię unieszczęśliwiła. Przykro mi.

Steve uśmiechnął się smutno.

- Mnie też. - Zawahał się, ale mówił dalej: - Chociaż nie jestem aż tak bardzo zaskoczony.

Nie wyglądał też na człowieka ze złamanym sercem. Właściwie to nawet wydawało się Cait, że poczuł ulgę.

- Cały czas szukałaś wymówek, żeby nie pójść ze mną do łóżka - wyjaśnił, gdy spojrzała na niego pytająco.

Cait zamknęła oczy. Gdyby do tej pory nie wyczerpała swojej życiowej porcji upokorzenia, teraz od nowa mogłaby się w nim tarzać. Pochyliła głowę.

- To nie tak... - Ale nie mogła skończyć, bo najwyraźniej jednak właśnie tak było. Widocznie jej ciało rozumiało to, czego umysł nie chciał przyjąć do wiadomości: że Steve nie jest dla niej odpowiedni.

- Cieszę się, że się przeprowadzam do Denver - powiedział szczerze.

- Tak - przyznała, podnosząc wreszcie na niego wzrok. - Jestem pewna, że tam kogoś poznasz, kobietę lepszą, odpowiedniejszą dla ciebie. I będzie cię kochała tak, jak na to zasługujesz.

Zanim mógł odpowiedzieć, odezwał się jego pager. Uśmiechnął się z lekką skruchą i zaraz roześmiał, gdy sekundę później zapiszczał również jej pager.

Wsadził pierścionek do kieszeni, wstał i podał Cait rękę.

- Uważaj na siebie, Cait.

Na sekundę mocno uściśnęła jego dłoń, a potem ją puściła.

- Postaram się. Ty też dbaj o siebie.

Odwrócił się i poszedł do izby przyjęć. Patrzyła za nim, wiedząc, że w końcu zrobiła to, co trzeba. Steve miał przed sobą jasną przyszłość.

- Jestem zdumiona. Nie, właściwie nie - powiedziała Gaby, gdy oglądali slajdy, które Charlie wysypał z pudełka. - To znaczy, wiedziałam, że znalazłeś coś cudownego. I pamiętam, jak mówiłeś o matkach i dzieciach, niedźwiedziach i niemowlętach, ale nigdy bym nie pomyślała... - Uniosła wzrok, jej oczy lśniły zachwytem. - Charlie, to wspaniałe. Naprawdę genialne.

- Uhm.

Sam przyznawał, że zdjęcia są niezłe. Seria ujęć matki niedźwiedzicy z małymi wywierała wrażenie. Zrobił też kilka dobrych zdjęć rozbrykanego żrebaka. Podobały mu się także niektóre fotki Angie z dzieckiem. Ale najbardziej chyba lubił zdjęcie całej rodziny McCallów przy stole: Jeda, Brennę, Otisa, Tucka, Neile, Shannon i Hanka. Trzy pokolenia. Śmiali się, dyskutowali, rozmawiali. Rodzina. Kochająca się. Troskliwa. Wspierająca się nawzajem.

Na sam widok czuł ból. Tego właśnie zawsze chciał - nawet wtedy, gdy bał się po to sięgnąć, najpierw z Chase'em i Joanną, potem z Cait. Tak, w końcu nabrał rozumu. Ale jeśli chodzi o Cait, jej rana była zbyt głęboka, a on za długo czekał.

Żałował, że opuszcza Montanę, był wdzięczny Brennie za zaproszenie, by przyjeżdżał zawsze, gdy będzie chciał, i może nawet któregoś dnia przyjedzie. W końcu Cait tu już nie będzie, zamieszka w Denver, ze Steve'em. Albo, jeżeli nie wyjdzie za Steve'a, znajdzie sobie kogoś innego. Kogoś, kto postąpi właściwie od razu, od samego początku. Nie tak, jak on.

- Możemy przygotować wystawę na następny tydzień - powiedziała Gaby. Jej oczy błyszczały entuzjazmem.

- Co? - To przecież niemożliwe. Przygotowanie wystawy trwa całe miesiące. Charlie spojrzał na nią ze zdumieniem.

Gaby roześmiała się.

- Nie w pełnej skali, nie wystawę zawierającą pracę tylko jednego autora. Ale w przyszłym tygodniu otwieram wystawę Nathana Wolfe'a. Robi fantastyczne zdjęcia z Arktyki. Zwierzęta, Ptaki. Ma kilka wspaniałych zdjęć niedźwiedzi polarnych. To, co ty przywiozłeś, bardzo by pasowało jako uzupełnienie. - Gaby zapalała się coraz bardziej. - Twoja publiczność i tak by cię odnalazła, ale skoro zmieniłeś tematykę, będziesz chciał, żeby ludzie wiedzieli, do czego doszedłeś. I publiczność Nathana będzie tu najbardziej odpowiednia.

- Nathan nie będzie zadowolony. Ale Gaby się z tym nie zgodziła.

- Myślę, że mógłby być zadowolony. Nie dał mi tyłu prac, ile potrzeba, by wystawa stała się wydarzeniem, tak więc powiesimy też trochę twoich zdjęć. Zapełnisz mi ściany i zrobisz mu przysługę.

- No. nie wiem...

Gaby oczywiście potraktowała to jako zgodę. Już wybierała slajdy, które zamierzała wykorzystać. A Charlie nie miał dość energii, by z nią dyskutować. Zresztą nie miał teraz energii na nic.

Wrócił do domu dwa dni temu i od tego czasu siedział tylko i wpatrywał się w ocean. Ale ocean nie uspokajał go tak, jak to zwykle bywało. Był za... płaski. Nadal lubił patrzeć w horyzont, ale płaski horyzont teraz go nudził. Potrzebował bardziej urozmaiconej panoramy. Potrzebował gór. Wysmukłych sosen. Lodowatych, bystrych strumieni. Południowa Kalifornia nagle wydała mu się obca. Nigdy nie był tak świadomy zanieczyszczeń, hałasu, budynków, samochodów. Było tu mnóstwo ludzi. Za dużo ludzi.

Ale wśród tych tłumów nie było Cait. Wszystko zawsze sprowadzało się do Cait. Musi przestać o niej myśleć. Musi się z tego otrząsnąć. Zrobił wszystko, co mógł. Nic więcej nie może zrobić.

- Doskonale - powiedział do Gaby. - Zrób, jak uważasz. Pomogę ci.

Może to odwróci jego uwagę, zajmie go, zmusi do powrotu do życia. Przecież w końcu, kiedyś, musi się przemóc.

Przemoże to. Zapomni o nim. Musi. Nie ma wyboru. Teraz już nie może za nim pobiec. Sama sobie pościeliła, jak powiedziała by ojciec. I teraz musi w tym spać. I jakoś spała, chociaż marnie. Noc po nocy nawiedzały ją myśli o tym, co mogłaby mieć.

Codziennie zmuszała się, by iść do pracy. Przyjmowała pacjentki. Pomagała dzieciom przyjść na świat. A gdy zostawała jej jeszcze odrobina energii, brała się do roboty na ranczu. Gdy zabrakło Charliego, potrzebowali jej pomocy. Nie była zdziwiona, gdy się dowiedziała, że wyjechał.

Ale jej ojciec się zdziwił.

- Myślałem, że zaczyna się przyzwyczajać - powiedział, kręcąc głową, gdy ją o tym zawiadamiał. - Mówiłem mu, że może się stać bardzo zręcznym kowbojem.

- Tato, on jest fotografikiem. I ma własną pracę do wykonania.

- Przecież robił to tutaj - burczał Walt. Wyprostował ramiona. - Cieszę się, że tu przyjechał. Dzięki niemu zacząłem myśleć o rzeczach, o których nie myślałem od lat.

Cait właściwie go nie słuchała. Jak zawsze, myślała o Charliem. Była więc kompletnie zaszokowana, gdy kilka dni później po powrocie z pracy zobaczyła, że ojciec pakuje torbę.

- Tato? - Stała w drzwiach jego pokoju i przyglądała mu się ze zdumieniem.

Wzdrygnął się, zaskoczony. Potem po jego twarzy przemknął zakłopotany uśmiech.

- Och, Caity. Już wróciłaś?

- Tak. Wyjeżdżasz? Wybierasz się na jakąś wycieczkę? Zachęcała go do wychodzenia z domu, ale nigdy jej nie powiedział, że zamierza wyjechać. A może tak? Od wieczoru, kiedy po raz ostatni widziała się z Charliem, tkwiła w tak silnym emocjonalnym wirze, że nie słuchała, co ludzie do niej mówią.

- Nie wyjechałbym, nic ci nie mówiąc - tłumaczył się Walt, składając koszulę.

- To dobrze. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Przecież wiem. Jedziesz na weekend do Las Vegas? Czy do cioci Rachel do Seattle?

Ojciec wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Do Wietnamu.

Czuła, jak usta jej się otwierają ze zdumienia, a oczy rozszerzają. Była całkowicie pewna, że o tym ojciec jej nie mówił.

- Ale... dlaczego?

- Jest taka jedna sprawa, o której musimy porozmawiać. - Odstawił torbę na łóżko i podszedł do Cait. - Chodź, usiądźmy. Chcę ci opowiedzieć pewną historię.

Czyżby chciał mówić o swoich przeżyciach wojennych? To by było dziwne. Ojciec nie lubował się w opowiadaniu o swoich doświadczeniach z tego okresu, nie opowiadał o nich całymi godzinami każdemu, kto tylko chciał słuchać. Nie żył przeszłością. Dla niego to, co się skończyło, było skończone. Gdy ona i Wes pytali go o tamte dni, po tym, jak od swoich kolegów albo ojców kolegów wysłuchiwali o Wietnamie i oglądali programy na ten temat w telewizji, spławiał ich krótko:

- To już przeszłość. Trzeba iść do przodu.

A teraz chciał jej opowiedzieć swoją historię.

- Margie była taka młoda - zaczął. Cait siedziała na sofie, do której ojciec ją podprowadził, podczas gdy sam chodził po pokoju, w tę i z powrotem. - Była jeszcze dzieckiem. Miała dziewiętnaście lat. I wydawało jej się, że cały świat kręci się tylko wokół mnie. Nigdy nie zainteresowała się nikim innym! Nie chciała. - Walt zamilkł, przejechał palcami po krótkich, szpakowatych włosach. - Uważałem, że lepiej zaczekać. Nigdy nie wiadomo, co się stanie z człowiekiem na wojnie. Pisałem do niej. Była linią łączącą mnie ze światem, który znałem. Za to ją kochałem. Kochałem ją - powiedział bardziej zdecydowanie. - Ale zdziwiłem się, kiedy przyjechała do mnie na Hawaje, gdy dostałem urlop.

O tych wydarzeniach Cait już słyszała. Znała mnóstwo historyjek o tym upojnym tygodniu, jaki jej rodzice spędzili razem na Oahu. Matka nieraz jej opowiadała, z lśnącymi oczami, jak cudownie było znów zobaczyć Walta, dotykać go i tulić.

- Jasne, że przyjechała - zauważyła Cait. - Dlaczego miałyby odmówić?



- Wiele kobiet tak robiło - odparł ojciec. - Faceci jechali na urlop pełni nadziei... a ich dziewczyn tam nie było. Byłem przygotowany na to, że mnie się zdarzy to samo. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy wysiadłem z autobusu w Forcie DeRussey, a ona już na mnie czekała.

- Tato, mama cię kochała. Nigdy by nie wyszła za kogoś innego.

- Teraz to wiem. I na Hawajach też już wiedziałem. Ale przedtem nie.

Cait popatrzyła na niego, niezupełnie rozumiejąc, co ma na myśli. Ojciec milczał przez chwilę. Potem westchnął i cicho podjął swoją opowieść.

- W Wietnamie poznałem pewną kobietę. Była nauczycielką. To się zdarzyło, zanim jeszcze spotkaliśmy się z twoją matką na Hawajach. Ta nauczycielka trochę mówiła po angielsku. Chciała, żebym ją uczył. - Walt potarł kark, wbił spojrzenie w jakiś punkt za oknem.

Cait bez trudu odgadła, co się zdarzyło potem. Pamiętała Abuk. Pamiętała Charliego. Dokładnie wiedziała, co mogło się zdarzyć. To właśnie zdarzyło się jej samej.

- Miała na imię Sue. No, właściwie to nie, ale miała takie imię, że nie potrafiłem go wymówić - powiedział Walt ze smutkiem. - Więc nazywałem ją Sue. Była śliczną kobietą. I ja... ja... - Zamilkł i potrząsnął głową, niezdolny do wypowiedzenia następnych słów.

- I zakochałeś się w niej.

Walt odwrócił się od okna i spojrzał na córkę.

- Nie wiem, czy ją naprawdę kochałem - powiedział ku zdumieniu Cait. - Lubiłem ją. Bardzo ją lubiłem. Może wtedy nawet mi się wydawało, że ją kocham. Była słodka, zabawna, szlachetna. Bardzo miła dla chorego z tęsknoty za domem Amerykanina. Ale wtedy pojechałem na Hawaje i zobaczyłem znów twoją matkę. Tego w ogóle nie dało się porównać. To

była miłość, Caity. Moja przyszłość. I gdy wróciłem, już żonaty, od razu powiedziałem o tym Sue.

- I potem nigdy już się z nią nie widziałeś? Walt pokręcił głową.

- Powiedziałem jej, że nie możemy się widywać.

- A teraz jedziesz jej szukać?

- Nie jej, Caity. Ona nie żyje. Umarła kilka lat później, pod koniec wojny.

- Więc po co tam jedziesz?

Po twarzy Walta przemknął smutny uśmiech.

- Urodziło się dziecko.

Cait zastygła. Cieszyła się, że siedzi. Patrzyła na ojca tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Dziecko?

Ojciec i ta wietnamska nauczycielka, ta kobieta, do której mówił Sue, mieli... dziecko? Po drugiej stronie świata mieszka jakiś Blasingame? Przyrodnia siostra albo brat jej i Wesa? Próbowała oswoić się z tą myślą.

- I przez wszystkie te lata... - Zamilkła, w głowie jej wirowało. - Dziecko?

- Tak, dziecko.

- Czy mama...?

- Nie. Nikt nie wiedział. Nigdy nikomu nie powiedziałem.

- Ale...

- W życiu dokonuje się różnych wyborów, Cait. Niektórych pod wpływem chwili, niektórych po długich namysłach. Ale dokonujemy ich - i żyjemy dalej. Staramy się postępować jak najlepiej. I ja właśnie tak próbowałem żyć. - Walt westchnął. - Gdy wyjeżdżałem na Hawaje, nie wiedziałem, że Sue jest w ciąży. Nie miałem o tym pojęcia. Taka możliwość nawet nie przyszła mi do głowy. Dowiedziałem się dopiero po powrocie, gdy ją poinformowałem, że się ożeniłem. - Znow westchnął.

- Gdy mi powiedziała o ciąży, poczułem się tak, jakbym dostał toporem w łeb. Nie chciałem jej uwierzyć. Ale uwierzyłem.

- Wpatrzył się w czubki swoich butów, a potem podniósł wzrok i spojrzał Cait prosto w oczy.

- Ale nigdy nie widziałeś... nie zobaczyłeś swojego... - Cait nie zdołała skończyć zdania.

- Nie. Zostawiłem ją.

- I nigdy...

Walt z uporem pokiwał głową.

- Nie. Mogłem się postarać o opiekę nad dzieckiem. Mogłem tego zażądać i przywieźć je do Stanów. Niektórzy tak robili. Ale ja nie. Sue chciała zatrzymać dziecko. Tak mi powiedziała. A ja... nie nalegałem. Bałem się zadać ból twojej matce. Nie wiedziałem, jak by zareagowała. Bałem się zaryzykować. - Westchnął i zgarbił się, jakby tamta decyzja ciągle ciążyła mu na ramionach.

- Wiec czemu teraz tam jedziesz? - spytała Cait.

- Dlatego, że gdy dostałem ataku serca, miałem mnóstwo czasu na myślenie.

I o tym właśnie myślał przez te wszystkie miesiące? Dlatego był taki zamknięty w sobie i roztargniony?

- I pomyślałem, że mogę umrzeć i nawet go... albo jej nie poznać. Tylko dlatego, że bałem się ryzyka. - Walt pokiwał głową. - Cait, nie twierdzą, że wtedy postąpiłem źle. Może tak. Może zachowałem się egoistycznie. Ale cholernie się bałem. Tak więc dokonałem wyboru, jaki uważałem za słuszny.

Cait próbowała zobaczyć te wszystkie lata swojego życia, wszystkie te lata, kiedy ojciec zachowywał całą sprawę wyłącznie dla siebie. Próbowała sobie wyobrazić, jak się czuł, gdy porzucał swoje dziecko, którego, jak mu się wydawało, nigdy nie pozna.

- Ale teraz patrzę wstecz - powiedział. - To ta twoja mała dziewczuszka spowodowała, że znów zacząłem patrzeć wstecz.

- Jaka dziewczuszka? - zdziwiła się Cait.

- Ta z okładki albumu Charliego. Dziewczynka w szpitalu. Dziewczynka, której wojna odebrała wszystko. Jej widok sprawił, że poczułem się winny. Muszę się dowiedzieć. Rozmawiałem z Charliem...

- On wie?

- Rozmawialiśmy. Nie o... moim dziecku. O dzieciach. O ryzyku. O wojnie. O życiu. O umieraniu.

Cait skinęła głową. Tak, Charlie coś wie o umieraniu. Gardło jej się ścisnęło, oczy paliły od łez.

- Może nigdy się nie dowiem - kontynuował Walt. - Zdobycie informacji może się okazać niemożliwe. Może już jest za późno. Ale nie chcę umrzeć, nawet nie spróbowawszy, Cait. - Jego jasnoniebieskie oczy napotkały jej wzrok. - Nie chcę umrzeć, nie spróbowawszy odnaleźć mojego dziecka.

Gaby, jak zawsze, stanęła na wysokości zadania.

W wieczór wernisażu w galerii „Sombra y Sol” sangria płynęła wartkim strumieniem, strzelały korki szampana. Krytycy i dziennikarze przechadzali się z bogatymi mecenasami sztuki, sięgali do tac pełnych najwykwintniejszych przekąsek, dyskutując o fotografiach Nathana i Charliego.

Oczywiście to była wystawa Nathana. Ale Nathan ledwo ich zauważał. Był roztargniony. Głowę zaprzętały mu jakieś inne sprawy.

- Mamy szczęście, że przynajmniej pamiętał o tym, by się tu pokazać - zrzędziła Gaby, piorunując go z daleka wzrokiem. - Charlie, martwię się o niego.

- Nic mu nie będzie.

- Tak myślisz? - Gaby nie podzielała jego optymizmu. - Jest z nim tak samo źle jak z tobą kilka miesięcy temu, kiedy

nie potrafiłeś się skupić nawet na tyle, żeby zrozumieć jedno krótkie zdanie.

O, teraz Charliego już było na to stać - jeżeli mocno się starał. Bardzo ciężko nad sobą pracował. Dał z siebie wszystko, by pomóc Gaby urządzić wystawę. Robił, co tylko mógł, żeby nie myśleć o Cait. Powiedział jej wtedy prawdę: że nie chce uwolnić się od niej. Ale musiał też jakoś funkcjonować. Nawet jeżeli ona nie będzie z nim dzieliła życia, on musi nadal żyć. Przyjechał do Santa Fe z Gaby następnego dnia po tym, jak zaproponowała mu tę wystawę. I od tego czasu pracował jak opętany. Tylko w ten sposób jakoś dawał sobie radę z sobą samym.

- Ach! - wykrzyknęła Gaby. - Przyszła twoja rodzina.

Charlie rozejrzał się, szukając rudych loków Joanny i kruczoczarnej czupryny Chase'a. Przecież mówił im, że nie muszą przychodzić.

- To nic nadzwyczajnego - tłumaczył.

- Ale to twoja wystawa - oświadczył Chase.

- I jest ważna - dodała Joanna. - Wszyscy tam będziemy. I Charlie cieszył się, że jednak się pojawili. Cały tydzień na to czekał. Zobaczył w drzwiach Joannę. Złapała jego spojrzenie, uśmiechnęła się i wypchnęła kogoś przed siebie. Cait.

Charlie zastygł. Wokół niego zamarły wszelkie dźwięki: stukot kieliszków, szcęk tac, ciche rozmowy, głośne śmiechy. Cait? Tutaj? Zamrugął. Nie wierzył własnym oczom. Ale gdy spojrział jeszcze raz, nadal tu była. Patrzyła na niego. W jej oczach widział ciepło, czułość, nadzieję, że pamięta tamte dni, gdy go kochała.

Na to spojrzenie czekał od dnia, kiedy został ranny, od chwili, gdy szukał jej w tłumie ludzi wychodzących do niego ze snopu światła. Od dnia, kiedy jej tam nie znalazł. A teraz jest tutaj.

Zaczął drzeć.

- Charlie! - Głos Gaby zabrzmiał tak, jakby znajdowała się daleko stąd. - Szampan ci się wylewa - Potem powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Och, rozumiem - powiedziała spokojnie.

Zabrała mu kieliszek, wzięła go za rękę i poprowadziła przez salę do grupki ludzi, wśród których stała Joanna z Cait. Gdy go tam doprowadziła, nie powiedziała ani słowa. On też się nie odezwał. Nie mógł. Nie wiedział, co miałby powiedzieć.

Ale Cait wiedziała. Uśmiechała się i patrzyła na niego. W oczach zbierały jej łzy.

- Wybaczysz mi?

- Co?

Jej usta zadrżały.

- To, że byłam taka głupia. Że ci nie ufałam. Że się bałam. Teraz on się bał, bał się, że tylko sobie wyobraża to wszystko, bał się uwierzyć, że to rzeczywistość.

- Czego się bałaś? - spytał.

- Kocham cię - powiedziała i zabrzmiało to jak przysięga.

- Och, Boże, Charlie, kocham cię! I wierzę, że ty też mnie kochasz.

Nagle wszedł między nich jakiś krytyk o zgryźliwym wyrazie twarzy.

- Szukałem pana. Musimy porozmawiać o tym nieprzewidywalnym, dziwacznym zwrocie w pana pracy.

- Ja...

- To pan robił te genialne zdjęcia miast, które przeżyły kataklizm, prawda?

- Ja...

Cait nieśmiało dotknęła jego ręki. Splótł mocno palce z jej palcami, dając jej jeszcze raz całe swoje serce, chociaż już od dawna było jej własnością.

- Ta nowa tematyka jest zdumiewająca - szczebiotał krytyk, patrząc na Charliego z nieukrywaną niechęcią. - I zbija wszystkich z tropu. Zastanawiam się, jak mógł pan w tak krótkim czasie przejść od brutalnego realizmu do tych... tych czułych... pełnych nadziei... - Wymawiał te słowa tak, jakby rzucał obelgi.

- Ja...

- ...Nie mogę teraz rozmawiać - skończyła za niego Gaby stanowczo, biorąc krytyka pod rękę i odciągając go. - Ale ja jestem jego agentką i z przyjemnością z panem porozmawiam.

- No, śmiało - powiedziała do Charliego bezdźwięcznie, samymi ustami. - Śmiało - powtórzyła i odciągnęła krytyka, by pokazać mu zdjęcia matek i niemowląt: ludzkich, niedźwiedzich i końskich.

- Jak pani sobie tłumaczy tę zdumiewającą zmianę? - spytał ostro krytyk.

- No, więc... - odparła Gaby - wydaje mi się, że wszystko się zaczęło, gdy zobaczył światło...

Miał ją w swoim łóżku. Miał ją w ramionach. Tak jak od tak dawna miał ją w swoim sercu. Nie mógł w to uwierzyć. Po drodze do hotelu co chwilę zatrzymywał samochód tylko po to, by jej dotknąć, pocałować, upewnić się, że Cait naprawdę tu jest.

- Jestem tutaj - szeptała. - Jestem. - Ale zdumienie w jej głosie mówiło mu, że ona sama też musi się o tym upewniać.

- Tak bardzo się myliłam - powiedziała mu, gdy weszli do pokoju i zamknęli drzwi. Objęła się rękami, mocno, ściśle, kręciła głową. Wreszcie spojrzała na niego z udręką. - Czy ty mi wybaczysz? Kocham cię.

A Charlie potrafił jej na to odpowiedzieć, wyznając jedną, jedyłą prawdę:

- Ja też cię kocham.

Potem wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Tym razem jej nie całował. Po prostu trzymał ją, czuł, jak ciepło jej ciała topi lód, który tak długo zakuwał jego serce, czuł delikatny dotyk jej rąk na swoich plecach, czuł, jak ścisła go coraz mocniej. Czuł, jak ich serca zaczynają bić w jednym rytmie.

- Jak ty... Chase... Joanna?

- Przyjechałam cię odszukać. Poszłam do nich. Joanna wcale się nie ucieszyła na mój widok, wygarnęła mi kilka prawd. - Cait uśmiechnęła się ze skrucą. - I zasługiwałam na każde jej słowo.

- Joanna potrafi być trochę gwałtowna - przyznał Charlie. głaszcząc ją po policzku.

- Kocha cię.

- Tak.

- Ja też cię kocham. Charlie, już nie chcę, żebyś odszedł z mojego życia - szepnęła. - Teraz już rozumiem to, co mówiłeś o wieczności.

Jego ręce znieruchomiały. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Naprawdę?

- O, tak.

I dopiero wtedy kochał się z nią. Jego ciało aż do bólu pragnęło ulgi. Ale zmusił się do delikatności. Całował jej podbródek, wzniesienie piersi, rowek między nimi. Dotykał i głaskał. Ręce mu drżały. Całe ciało drżało. Ale opanowywał się. Gromadził wspomnienia. Magazynował w pamięci kawałki wieczności.

Aż wreszcie Cait otoczyła go ramionami i pociągnęła w dół, w swoje ciepło. Poczował, jak jej ciało się naprężyło, i usłyszał jej krzyk. A wtedy zamknął oczy i zobaczył światło - i oddał się miłości, i Cait.

Teraz mieli dla siebie całą wieczność. Liczyła się tylko ich miłość.

Charlie nigdy w życiu nie widział jeszcze śniegu.



- Niemożliwe! - Cait była zdumiona, gdy jej to powiedział. Nadszedł już wrzesień. Wrócili na rancho ze swojego miesiąca miodowego na Jamajce i zastali ziemię pokrytą pięciocentymetrową warstwą śniegu.

Pokręcił głową.

- Nigdy. - Wziął garść śniegu do ręki i był zaskoczony, gdy poczuł, jak jest zimny. Spróbował ulepić kulę, ale mu nie wyszło. Nie miał wprawy. To jeszcze jedna rzecz, której musi się nauczyć.

Teraz był już grudzień. Charlie potrafił naprawiać ogrodzenia. Potrafił rozpoznać zarazę wśród bydła. Umiał ulepić kulę ze śniegu. I bałwana. I mógł godzinami odgarniać śnieg.

- Nigdy w życiu nie widziałem tyle śniegu - mrucał. Obejmował żonę i przyglądał się srożącej się na dworze zadymce.

- W ogóle widziałeś mało śniegu - powiedziała.

- Widziałem dość - odparł ponuro Charlie. - Jeżeli zobaczy się jedną kulę, to tak, jakby widziało się już wszystkie.

- Tak ci się tylko wydaje! - zawołała Cait z wyzwaniem w głosie.

- Pewnie. - Pociągnął ją do drzwi. - Może urządzimy sobie małą bitwę na śnieżki?

- Po prostu chcesz się pochwalić, teraz, gdy Tuck i Jed nauczyli cię wszystkiego, co sami umieją.

- No, może i tak.

Chciał wyjść na dwór i tarzać się z nią w Śniegu. A właściwie chciał iść do łóżka i tarzać się z nią w pościeli, ale była dopiero druga po południu i Walt spojrzałby na nich z kpina, gdyby poszli na górę. Na razie mieszkali u Walta, bo jeszcze nie zdecydowali, kto ma sobie budować nowy dom. Walt już wrócił z Wietnamu. Uzyskał tam pewne wskazówki,

ale na razie nic z nich nie wyniknęło. Musieli czekać i mieć nadzieję.

- Jestem trochę niespokojny - przyznał.

- Ale to jest warte nerwów - powiedział Charlie. Gdyby on sam nie wrócił po to, co za sobą zostawił, teraz nie byłoby go tutaj. I nie miałby Cait.

- No, to jak? Walczymy? - spytał teraz, uśmiechając się od ucha do ucha.

Cait pokręciła głową.

- Nie mogę. Mamy obowiązki. A właściwie to ty je masz.

Miała na myśli doroczne przedstawienie jasełkowe w Elmer. Gdy brali ślub, Polly McMaster za darmo oddała im do dyspozycji salę w ratuszu, pod jednym tylko, ale za to surowym warunkiem: że Charlie wyreżyseruje tegoroczne jasełka.

- Chyba się nie spodziewa, że dziś przyjadę! Drogi są zasypane.

- Nigdy nie słyszałeś powiedzenia, że przedstawienie musi się toczyć dalej? - drażniła się z nim Cait.

- Ale...

- No, daj spokój. Im szybciej tam pojedziemy, tym wcześniej wrócimy do domu.

To nie do końca było prawdą, ale Charlie nie zamierzał się kłócić. Śnieg padał przez całe popołudnie. Ale to nie miało znaczenia. Wszyscy mieszkający w promieniu dziesięciu kilometrów od Elmer przyjechali, tak jak zawsze. Nikt nie utknął w zaspie. Żadne dziecko nie urodziło się na scenie. Charlene, której wyznaczył rolę Dzieciątka w żłobku, nawet nie pisnęła, Angie, którą zmusił do zagrania Maryi, jaśniała z radości.

Uśmiechając się, gdy szli do pikapa, Cait powiedziała mu, że szybko się uczy miejscowych zwyczajów.

- Tak, chyba tak - roześmiał się.

Czasami wydawało mu się, że tego wszystkiego, co jeszcze ma do nauczenia się o życiu i miłości, nigdy nie zdoła poznać nawet z grubsza. Czasami w nocy budził się i leżał, przyglądając się miłości swojego życia i rozmyślając o cudzie, jakim było to, że dostał drugą szansę. Czasami Cait też się budziła. Widząc, że jej się przygląda, bez słowa, ze zrozumieniem, obejmowała go. Dziś w nocy będzie tak samo.

Ale najpierw zjedli późną kolację. Potem pomogli Wallowi przy gospodarstwie, a gdy Cait szczotkowała włosy, Charlie zadzwonił do Chase'a i Joanny i uszczęśliwił ich opowiadaniem o swoim reżyserskim triumfie. Cait odwróciła się do niego z uśmiechem, a w oczach miała tyle miłości, że w sercu poczuł wielką słodycz i ciepło.

- Muszę kończyć - mruknął do Chase'a. - Kocham was wszystkich.

Odwiesił słuchawkę i wziął żonę w ramiona. Na dworze ciągle jeszcze padał śnieg. Ale oni, w ciepłym domu, nic sobie z tego nie robili. Cait pociągnęła go za sobą na łóżko. Pocałowała go.

- Pamiętasz, jak kiedyś, w Abuku, zaczęłam mówić o domu i rodzinie?

- Chodzi ci o ten pierwszy raz? Skinęła głową.

- Pamiętam.

- A ty się wystraszyłeś.

- Tak.

- Teraz już się nie boisz?

- Nie boję się. Małżeństwo z tobą to najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała. Przysięgam ci, że to prawda.

- A reszta? - nalegała Cait.

- Jaka reszta? Miłość? Wiesz, że cię kocham. Rodzina? - Nagle go olśniło. Oczy mu rozbłysły. A może to łzy tak błyszczały? - Caity?

Roześmiała się i potoczyła z nim po łóżku. Objął ją delikatnie, z szacunkiem, i wysłuchał słów, o których myślał, że nigdy nie będzie chciał ich słyszeć, a teraz napawały go największym szczęściem.

- Około pierwszego sierpnia - powiedziała mu Cait - zostaniesz ojcem.